Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Feta w Puławach

Gabriela Pauszer-Klonowska: „Julian skłonił się nisko(...). Nie przeczuwał wówczas, że opiewać ma człowieka, który w przyszłości stanie się obiektem jego największej nienawiści i najostrzejszych ataków."

Komputeryzacja -słup mydłem posmarowany

Jerzy Dostatni: „Informatyka, cudowny wynalazek początków drugiej połowy naszego wieku, przy użyciu elektronicznych maszyn cyfrowych stwarza olbrzymie perspektywy rozwoju gospodarczo-społecznego."

Kazimierzowskie burczybasy

Janusz Ciechociński: „— Jok ma śpiwać o pasaniu gęsi dzieciak, jak on dziś gęsi nie pasie? — z pewnym zniecierpliwieniem odezwała się Wanda Czubernatowa, poetka, najciekawsza góralka w Europie i najbardziej europejska uczestniczka festiwalu..."

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 30 VII 1972 Nr 16 (501) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Rys. A. Stok

Koń to pieniądz

Ireneusz J. Kamiński

Fot. M. Gadzalski

W „JANOWIANCE" obiady wydaje się od godziny pierwszej do piątej po południu, hotel nad restauracją Gminnej Spółdzielni ma kilka miejsc, w poniedziałek w pobliskim barze samoobsługowym „dla podróżnych" nie ma nic do jedzenia poza konserwami rybnymi, stacja benzynowa posiada pompy ręczne, aptekę zamyka się o godzinie piątej, kiedy dorosła młodzież osady krąży tu i tam po rozległym placu Partyzantów — z nudów jeden poszedł na prywatną budowę, drugi napił się piwa z trzecim i czeka na moment rozpoczęcia zabawy w Domu Kultury, gdzie mieści się także Urząd Stanu Cywilnego — w dwóch dużych pomieszczeniach, skąd wysiudano bibliotekę, która dusi się w stertach książek... Sennik Janowski.

Nagle przez plac przejeżdża elegancki autokar, kierując się ku Wygodzie. „Aukcja w stadninie". I oto dzień nastał!

Stadnina Koni w Janowie Podlaskim wita gości zza oceanu rzucającym się w oczy porządkiem: czyste aleje, estetyczny szlaban przy bramie wjazdowej ze strażnikiem, dekoracyjne opony samochodowe pomalowane na biało i czerwono, przeczesane trawniki, piękne stare drzewa. Goście rozmawiają po angielsku, francusku i niemiecku.

Konie rżą w okólnikach, biegają po piasku. Goście oglądają rumaki, z których każdy występuje w kantarku z czarnym numerem wymalowanym na białej tabliczce. Po czym spoglądają w katalogi, gdzie każdy arab ma swoją biografię, ba — drzewo genealogiczne od trzydziestu pokoleń. Obejrzeli i pojechali do Białowieży — to są cenni goście, oczekiwani. Ale i oni cenią sobie przyjazd do Janowa, bo tutejsze wartości są nie do przebicia, a poza tym można — już we włas-

Dokończenie na str. 6

Nauka czy wczasy?

Praktyki wakacyjne studentów

Stanisław Romanowski

Praktyki wakacyjne studentów stanowią nieodłączną część programów nauczania. Powinny one wyrabiać u studentów umiejętności wiązania wiadomości teoretycznych z praktyką, umożliwić im poznanie środowiska i warunków pracy w obranym zawodzie. To teoria — a jak jest w praktyce? W lutym Wyższa Szkoła Inżynierska w Lublinie rozesłała ankietę do swoich absolwentów, już pracujących zawodowo, a także do zakładów i instytucji, zatrudniających tych absolwentów — pytając o ocenę praktyk na podstawie własnych doświadczeń. Oto wyniki tej ankiety.

W WIĘKSZOŚCI przypadków respondenci stwierdzili, że praktyki wakacyjne w aktualnym stadium organizacyjnym nie przynoszą spodziewanych efektów i nie są tym, czym być powinny. Można zaryzykować twierdzenie, że z praktyk we właściwy sposób korzystają jedynie ci studenci, którzy chcą się czegoś nauczyć. Dla mniej pilnych jest to okres bądź wychodzenia z zakładu po odnotowaniu obecności, bądź nieprzychodzenia w ogóle, lub też okres opalania się za halą produkcyjną. Niestety, wielu młodych ludzi musi być do nauki dopingowanych dyscyplinarnie, a równocześnie z dyscypliną, kontrolą i rozliczeniem studentów na praktykach bywa różnie.

Znamienną jest rzeczą, że absolwenci, krytycznie oceniając sposób organizacji praktyk, szczególnie uwypuklają brak zainteresowania się praktykami studenckimi ze strony zakładów pracy i zbyt mały dozór uczelni, oraz wskazują na brak powiązania profilu produkcyjnego zakładu z kierunkiem studiów. Wielu studentów wypowiada się za wprowadzeniem obowiązku pracy fizycznej podczas praktyk i chyba należy to uznać za objaw pozytywny. Absolwent Marian Ostrowski pracujący w Wojewódzkich Zakładach Chłodniczych w Białymstoku stwierdza, że *najlepszą formą praktyki jest bezpośrednia praca na stanowisku roboczym w okresie 6—10 miesięcy.* Wypowiedź innego absolwenta: *Uważam, że student powinien być zatrudniony podczas praktyki w charakterze pracownika akordowego.* Wojciech Byzdra, pracujący obecnie w Hucie Stalowa Wola, twierdzi, że praktyka nic mu nie dała, bo zakład nie przestrzegał programu praktyki, a jeszcze inny stwierdza, że spotkał się z całkiem niewłaściwym stosunkiem zakładu do praktykantów. Inni absolwenci są zdania, że praktyki powinny odbywać się w tym zakładzie, w którym absolwent będzie zatrudniony.

Dokończenie na str. 8

Krzysztof Coriolan

Gwiazda

czymże ptaki
w bezwietrznej głębi
między dnem a powierzchnią

czymże ryby
w bezwodnych przestworzach
od powierzchni stawu
aż po szelest gwiazdy

czymże my
w kroczeniu
przeciwko powietrzu i wodzie
ciemnym tunelem życia
między wrotami narodzin
a progiem

Poznali się w trolejbusie...

Maciej Podgórski

MOWIŁAM mazę różnych bzdur, żeby się śledczy ode mnie odczepili. A przede wszystkim chciałam, żeby Żuko siedział, bo chciałam siedzieć w jego towarzystwie. Mówiłam na niego, bo się bałam, że sobie gdzieś pójdzie, że sobie życie inaczej ułoży, więc wolałam, żeby ze mną razem siedział. Może to jest fałszywie pojęte uczucie, ale... — w ten sposób jedna z głównych oskarżonych odwołuje przed sądem część swych dotychczasowych zeznań, obciążających jej kochanka-Cygana. Nie ona pierwsza zresztą. Może to strach przed zemstą środowiska cygańskiego?

Ta sprawa w każdym razie długo jeszcze będzie toczyć się przed Sądem Wojewódzkim w Lublinie (IV Wydział Karny). Kilkanaście tomów akt śledczych, blisko stu świadków, 21 osób oskarżonych, 160-stronicowy akt oskarżenia, w którym stwierdza się: *banknoty wyprodukowane przez Zbigniewa K. stanowią największą ilość falsyfikatów 1000-złotówek, jakie zostały wyprodukowane do obecnej chwili w PRL;* milionowy obrót uzyskany przy sprzedaży sfałszowanych banknotów dolarowych.

Są to właściwie dwie sprawy. Jedna — związana z fałszywymi 1000-złotówkami. Druga — ze sfałszowanymi banknotami 50- i 100-dolarowymi. Dwie sprawy — jak by wynikało z aktu oskarżenia — połączone osobami Barbary M. oraz jej kochanka, Cygana Żuko.

Poznali się jesienią 1968 roku w Lublinie — w trolejbusie. Barbara M. przerwała akurat studia zaoczne na I roku WSR. Żuko, który zresztą nie ma wyglądu Cygana, przeżywał wtedy rozstanie ze swą poprzednią konkubiną, siedzącą w więzieniu. Zamieszkali razem w Świdniku. On i jego nowa kobieta. Pewnego dnia — jak zeznała Barbara M. — Żuko pokazał jej banknot 100-dolarowy, przerobiony z oryginalnego banknotu 2-dolarowego. Doszli do wniosku, że Barbara M. powinna banknot ten sprzedać, co też i uczyniła w Lublinie. Potem były wyprawy do stolicy po następny towar tego rodzaju, który nabywali od jakiegoś typa z ul. Ząbkowskiej. Ten kontakt załatwił Żuko, karany już uprzednio za handel dewizami i złotem, więc posiadający „dojścia" w branży.

Warszawski dostawca brał ponad 2 tys. zł za sfałszowane 100 dolarów, Barbara M. sprzedawała je za 9—10 tys. zł, potrącając z tego 1 tys. dla pośrednika, który w Lublinie dostarczał adresów bezpośrednich klientów: lekarzy, prywatnych rzemieślników. Barbara M. wchodziła na przykład do zakładu krawieckiego, wybierała płaszcz, powiedzmy: za 1600 zł, mierzyła ciuch, wyrażając gotowość kupna. Tylko, drobiazg, nie ma akurat przy sobie polskich pieniędzy, posiada natomiast 100 dolarów w jednym banknocie, więc...

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

W 28 rocznicę Powstania Warszawskiego

Krzysztof Kamil Baczyński

Pokolenie

Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosy brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury – palcom czy włosom
podobne – suną drapieżnie w mrok.

Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta strasząc jak krzyk.

Kwiaty to krople miodu – tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skręcone ciało,
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.

Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.

Pod ziemią drążą strumyki – słychać –
krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykłuto,
któremu kości kijem złamano;
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble – krew.

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi – ili troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy węszących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, śliско.
Szukamy serca – bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień – tak – głaz.

I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczołga,
gdzie zimny potop omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.

Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.

KULTURA 1972

Literatura

◆ Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się pierwszy tom „Pism" Tadeusza Peipera pt. „Tędy. Nowe usta". Tom zawiera m. in. słynny odczyt o poezji z 1925 roku.

◆ Tadeusz Różewicz wraz z reżyserem Stanisławem Różewiczem ukończył scenariusz filmowy pt. „Drzwi w murze". Jeszcze w roku bieżącym nakładem Ossolineum ukaże się jego „Tom utworów teatralnych". Niedawno pisarz był w Szwecji w związku z telewizyjną premierą jego sztuki „Stara kobieta wysiaduje".

◆ W lipcu minęło 75 lat od ukazania się w krakowskiej „Nowej Reformie" pierwszego odcinka powieści „Syzyfowe prace". Żeromski ogłosił ją pod pseudonimem Maurycego Zycha.

◆ Nakładem PIW-u ukazała się po raz pierwszy w druku najwcześniejsza powieść Witkacego — „622 upadki Bunga czy Demoniczna kobieta". Opracowanie tekstu i wstęp Anny Micińskiej.

◆ Francuska firma Edition Denoel wyda „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego" Mirona Białoszewskiego. W Norwegii ukaże się „Antologia opowiadań pisarzy polskich", a w Szwecji album „Ziemia Kopernika".

◆ Znany pisarz francuski Romain Gary wydał nową powieść pt. „Europa", która — jak i jego poprzednie utwory — podejmuje zawiłą problematykę współczesnego świata. Gary urodził się w Wilnie w 1914 roku, jest synem Rosjanina i Francuzki, a właściwe jego nazwisko brzmi — Kacew.

◆ 6 lipca minęła 10 rocznica śmierci, a 29 września minie 75 rocznica urodzin Williama Faulknera, jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych.

Teatr

◆ W kończącym się sezonie teatralnym w teatrach warszawskich wystawiono ponad 40 premier. Zdaniem znanego krytyka Wojciecha Natansona, najciekawszą sztuką były „Lęki poranne" Stanisława Grochowiaka, których prapremiera odbyła się w Teatrze Kameralnym.

◆ We wrześniu w Nowym Sadzie odbędzie się premiera „Wizyty starszej pani" Duerrenmatta w reżyserii Kazimierza Dejmka. Henryk Tomaszewski i Władysław Wigura przygotowują „Legendę czasu" Lorki dla holenderskiego „Het National Ballet". Jarocki reżyseruje „Ślub" Gombrowicza w Zurychu.

Muzyka

◆ Krzysztof Penderecki ukończył kompozycję, która zostanie odegrana podczas przysięgi zawodników na olimpiadzie w Monachium. Jedna wersja przewiduje „w roli głównej", flet, druga — głos męski (w wykonaniu Bernarda Ładysza).

◆ „Złoty pierścień" i nagrodę ministra Obrony Narodowej na festiwalu w Kołobrzegu zdobyła piosenka Jerzego Marta i Stanisława Łebkowskiego „Czerwone słoneczko", a jej wykonawcy — zespół „2 plus 1" — otrzymał także „Złoty pierścień".

◆ Nowy sezon krakowska Filharmonia rozpocznie w Gandawie, dokąd została zaproszona na międzynarodowy Festiwal Flandryjski. Drugi występ w nowym sezonie odbędzie się w Edynburgu, a dopiero trzeci w Krakowie.

◆ Około 30 koncertów w lipcu i w sierpniu da w NRF, Holandii i Belgii zespół „Słowiki" ze Szczecina.

◆ Jedyna w Europie Królewska Szkoła Gry na Dzwonach w Melechen w Belgii ogłosiła międzynarodowy konkurs na kompozycje napisane na dzwony. W sierpniu odbędzie się konkurs dla osób, grających na tych rzadko dla celów koncertowych używanych instrumentach.

◆ Zwycięzcą międzynarodowego konkursu pianistycznego im. Królowej Elżbiety Belgijskiej został 24-letni pianista radziecki Walery Afanasjew, uczeń Emila Gilelsa.

Sztuka

◆ Trzy razy w tygodniu — do połowy sierpnia — w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej w Warszawie odbywają się występy w ramach „Przeglądu Zespołów Folklorystycznych 1972".

◆ „Dzieje sztuki medalierskiej w Polsce" Adama Więcka to pierwsza tego typu monografia w naszym kraju, obejmująca m. in. 300 fotografii różnych medali od początków XVI w. do roku 1966.

◆ W muzeum wsi opolskiej w Bierkowicach na Opolszczyźnie urządzono wystawę 1200 prac, nadesłanych na konkurs pamiątkarski przez 175 twórców ludowych. Wiele pamiątek wzorowanych jest na oryginałach znalezionych w prasłowiańskich grodach i grobach.

◆ 20 plastyków bierze udział w plenerze „Biskupin-72". Rzeźby z metalu, granitu, gliny i drzewa, nawiązujące do kultury prasłowiańskich mieszkańców tych okolic, staną w pobliżu unikalnego rezerwatu.

Film i telewizja

◆ Od 28 września do 1 października odbędzie się w Szczecinie V ogólnopolski festiwal krótkometrażowych filmów morskich.

◆ W Tatrach nakręca się liczne sceny do serialu filmowego dla telewizji pt. „Janosik". Obejmie on 13 odcinków na taśmie kolorowej. Rolę główną odtwarza Marek Perepeczko, jego dziewczynę gra Ewa Lemańska.

◆ Nasza telewizja przygotowuje dwa kolorowe seriale o powojennych losach Polaków. 13-odcinkowy „Album rodzinny" nakręcony zostanie według scenariusza Andrzeja Szypulskiego i Zbigniewa Safiana, natomiast autorem scenariusza 10 odcinków „Losów" jest Roman Bratny. Ten ostatni serial w pewnym sensie nawiązuje do „Kolumbów".

Różne

◆ Słynna „Krzywa wieża" w Ząbkowicach na Dolnym Śląsku, konkurentka wieży w Pizie, została ostatnio wzmocniona cementowymi plombami. Mury jej u podstawy mają 7,5 m grubości. Wieża wybudowana w latach 1400—1412 była prosta, dopiero po wstrząsach tektonicznych w 1598 roku wierzchołek przechylił się o 152 cm.

◆ W województwie rzeszowskim działają 33 kulturalne stowarzyszenia regionalne, skupiające 4500 działaczy. Jest wśród nich chyba jedyne tego rodzaju w Polsce — Towarzystwo Przyjaciół Haczowa, wsi w powiecie brzozowskim.

◆ W Szczecinie trwa budowa nowego ośrodka radiowo-telewizyjnego, który po warszawskim i katowickim będzie największy w kraju.

◆ W Warszawie powstaje budynek dla jedynej w kraju biblioteki dla ociemniałych i niedowidzących, która ma być otwarta za dwa lata.

◆ W związku z 50-leciem powstania ZSRR odbędzie się w tym kraju 9 tys. specjalnych koncertów, w których weźmie udział 65 czołowych zespołów artystycznych, 30 orkiestr symfonicznych oraz ponad 500 najwybitniejszych solistów.

Lubliniana

◆ Przez dwa tygodnie przebywało na Lubelszczyźnie pięciu plastyków węgierskich z Debreczyna, następnie pięciu lubelskich plastyków pojechało z rewizytą.

◆ Dworek Wincentego Pola, przeniesiony do skansenu Muzeum Wsi Lubelskiej przy ul. Kalinowszczyzna w Lublinie, jest już całkowicie wykończony, obecnie urządza się wnętrze.

◆ Według najnowszej koncepcji odbudowany dworek Kościuszki na Sławinku ma być przeznaczony głównie na muzeum UMCS. Ale kiedy to nastąpi i czy jest to ostatnia koncepcja — trudno przewidzieć.

◆ Zespoły „Gracja" i Tańca Ludowego UMCS wyjechały na festiwal w Austrii. Kilka dni wcześniej w Lublinie i kilku innych miastach województwa występował Zespół Pieśni i Tańca Burgenlandzkiego Związku Krajowego z Austrii.

Fot. A. Polakowski

Co obiecuje McGovern?

A WIĘC już wiemy, kto będzie kontrkandydatem Nixona w wyborach prezydenckich z ramienia partii demokratycznej: senator George McGovern.

Początkowo — pisze na marginesie konwencji partii demokratycznej korespondent UPI — *próbowali go zignorować, następnie próbowali go pokonać i wreszcie próbowali zjednoczyć się w spisku przeciw niemu. Wszystko to nie dało rezultatów. George McGovern zwyciężał starych profesjonalistów przy każdej okazji. 49-letni senator z południowej Dakoty w pierwszych wyborach zmusił ich do zwrócenia na siebie uwagi, pokonał ich w ostatnich wyborach wstępnych i wreszcie w poniedziałek w nocy i wtorek rano* (9—10 bm. przyp. j.) *zmusił do wycofania się.*

Wybory prezydenckie w USA odbędą się w listopadzie br. Kandydaci z ramienia partii republikańskiej (jeszcze, gdy piszę te słowa — nie miała ona swej konwencji, ale nie ulega wątpliwości, że właśnie Nixon będzie jej reprezentantem) i demokratycznej będą mieli dość czasu i okazji, aby szczegółowo przedstawić swe poglądy zarówno na sprawy wewnętrzne jak i międzynarodowe. Zapewne problem wietnamski, jeśli paryskie spotkania nie doprowadzą do zmiany sytuacji, odegra dużą rolę w czasie kampanii przedwyborczej. Stanowisko Nixona jest dobrze znane, znacznie odbiega ono od tego, jakie zajmuje McGovern, który konsekwentnie od połowy lat sześćdziesiątych wypowiada się przeciwko angażowaniu się Stanów Zjednoczonych na Półwyspie Indochińskim. W 1967 r. na forum senatu pewien senator oskarżył go, że poprzez gwałtowne występowanie przeciwko wojnie wietnamskiej — *łamie tradycje Izby, w której rozbrzmiewają jeszcze echa odważnych słów, wygłoszonych przez nieżyjących już dzielnych ludzi.* McGovern natychmiast odparował: *W senacie zasiadają nadal dzielni ludzie, a senator z Illinois nie jest jednym z nich. Nie trzeba szczególnej odwagi, by stanąć na forum senatu i wzywać naszych chłopców w Wietnamie, by walczyli jeszcze zaciekle. Kiedy bowiem ta wojna przekształci się w konflikt na wielką skalę i poległnie w niej 100 tysięcy Amerykanów, tymi, którzy polegną, nie będą senatorzy...*

Uchwalony na ostatniej konwencji program partii demokratycznej mówi w tym względzie: *Jeśli wojna* (w Wietnamie) *nie będzie ukończona przed rozpoczęciem urzędowania nowej administracji, to oblecujemy, w trybie priorytetowym, całkowite i natychmiastowe wycofanie wszystkich wojsk amerykańskich z Indochin. Wszystkie działania militarne USA w Azji Południowo-Wschodniej zostaną zlikwidowane. Po zakończeniu bezpośredniego udziału USA w walkach położonu zostanie kres pomocy wojskowej dla rządu sajgońskiego i gdzie indziej w Indochinach.*

McGovern zwracając się do rodzin jeńców amerykańskich znajdujących się w Wietnamie, zapewnił, że w ciągu 90 dni od wybrania go prezydentem jeńcy ci będą mogli wrócić od kraju. *Naszym pierwszym i jedynym celem* — mówił — *w Południowo-Wschodniej Azji jest ich uwolnienie, a nie polityczne utrzymanie się przy życiu dyktatury w Sajgonie.*

Tyle, jeśli chodzi o Wietnam. Program partii demokratycznej zawiera też obietnicę redukcji sił amerykańskich w Europie, wstrzymanie pomocy wojskowej dla reżimu greckiego. Natomiast w niezwykle żywotnym problemie bliskowschodnim brzmi już inna nuta, nuta solidarności wobec Izraela, zapowiedź dostarczenia temu krajowi dalszej partii samolotów i innych rodzajów broni, a nawet uznania statusu Jerozolimy jako stolicy Izraela i przeniesienie tam ambasady Stanów Ziednoczonych, która obecnie ma swoją siedzibę w Tel Awiwie.

W sprawie stosunków USA ze Związkiem Radzieckim i Chińską Republiką Ludową demokraci wydają się stać na podobnym stanowisku, co Nixon.

Rzecz zrozumiała, że na konwencji doszły do głosu różne tendencje, różne skrajne zapatrywania i McGovern, chcąc uzyskać nominację, musiał zręcznie godzić zwalnione strony. Faktem jest również, że na tegorocznej konwencji dominowali ludzie młodzi i... nowi. 86 proc. delegatów po raz pierwszy brało udział w tak ważnym dla partii zgromadzeniu, a 21 proc. delegatów nie przekroczyło 30 lat!

A jakie szanse w wyborach prezydenckich ma McGovern? Ba! Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie. Warto jednak zwrócić uwagę na bardzo interesujący głos b. ambasadora, bliskiego współpracownika prezydenta Kennedy'ego, który na łamach „Sutarday Review" udowadniał niedawno, dlaczego popiera właśnie McGoverna.

Jego zdaniem, sukces (mowa jeszcze była o wynikach głosowań wstępnych) McGoverna można zrozumieć jedynie wtedy, jeśli się weźmie pod uwagę, że w USA dominującą rolę odgrywa diagnoza społeczna, a nie akcja praktyczna. *Jeśli dzieje się coś złego w naszej gospodarce, polityce lub, ogólnie biorąc, społeczeństwie, uparcie dążymy do wykrycia przyczyn tego zjawiska i wyjaśnienia popełnianych błędów. Było to zwłaszcza widoczne w ciągu ostatnich lat, gdy tak wiele ujawniło się negatywnych zjawisk, gdy rząd szerzy kłamstwa, gdy utrzymuje się kosztowne i niewytłumaczalne, sprzeczne z rozsądkiem zaangażowanie w Indochinach, gdy budżet wojskowy stał się absurdem zarówno w świetle potrzeb militarnych, jak i sytuacji w naszych miastach, gdy zaczęliśmy organizować wycieczki na Księżyc, choć ludzie nie mogą uzyskać nadziei pracy, gdy wbrew wszelkim zasadom ekonomicznym utrzymuje się połączenie gwałtownej inflacji i ostrego bezrobocia, gdy bałagan w dziedzinie opieki społecznej skłania ludzi do tłoczenia się w miastach i nakłada na nich kary za podjęcie pracy, gdy system finansowy stwarza całą nową warstwę oszustów podatkowych, i gdy wykryliśmy, że nasze powietrze, wody, plaże, drogi oraz cały krajobraz miejski poświęca się na ołtarzu nieograniczonego (i korporacyjnego) wzrostu. Na temat wszystkich tych problemów wypowiadali się mądrzy ludzie. [...] Ale w dyskusjach zakładało się, że nie podejmie się dalej idących kroków, które mogłyby zakłócić zasadniczą równowagę, istniejącą w naszej polityce, opartą o zasadę, że będziemy analizować, ubolewać, zalecać i od czasu do czasu żądać, ale nie będziemy biadać [...]. McGovern wpadł na nowy pomysł, że większość obywateli nie tylko pragnie, by rozumiano ich kłopoty, ale chciałoby również, by coś w tej sprawie zrobiono. [...] Jedynie uczciwy i poważny człowiek mówi dokładnie, co zamierza zrobić, a jak się dziś okazuje, właśnie te wartości są dziś atrakcyjne dla wyborców.*

Snując przedlistopadowe horoskopy, niektórzy publicyści amerykańscy porównują obecną sytuację do okresu przedwyborczego w 1932 roku, kiedy F. D. Roosevelt konkurując z Hooverem wystąpił z reformatorskim programem. McGovern, jak niegdyś Roosevelt, ma poparcie ludzi młodych, prężnych, którzy pragnęliby zmian, którym nie odpowiada zachowawczy charakter polityki wewnętrznej, którzy dążą do jak najszybszego zakończenia wojny wietnamskiej. Ale — o ile McGoverna można, mimo pewnych zastrzeżeń, porównywać z Rooseveltem (tym z roku 1932), o tyle Hoover, wijący się w sprzecznościach, nie umiejący sobie poradzić ze skutkami wielkiego kryzysu, to nie Nixon, który bądź co bądź wyciągnął pewne wnioski i z doświadczeń własnych i z doświadczeń historii, o czym mógły świadczyć jego wizyty w Pekinie i w Moskwie.

Kampania przedwyborcza w USA zapowiada się więc ciekawie. Jeśli Nixon wygra wybory niezbyt liczną większością głosów, nie będzie mógł pozostać obojętny wobec stanowiska tych współobywateli, którzy poparli program partii demokratycznej. Ale to już dalsza przyszłość.

(j)

Za Bugiem

W LITERATURZE ukraińskiej tematyka historyczna wykorzystywana była zawsze i często. Szczególnie powieści i opowiadania historyczne cieszyły się dużym powodzeniem wśród szerokich mas czytelniczych. Tak jest do dziś. Również obecnie ukazują się w druku utwory literackie, mające za podstawę wydarzenia z dziejów Ukrainy.

Głównymi bohaterami takich utworów są nie tylko wybitne postacie historyczne. I tak np. akcja powieści B. Komara „Weksza" toczy się w wieku X za czasów panowania w Kijowie księcia Igora, jeszcze przed przyjęciem chrześcijaństwa. Jej bohaterem jest zwyczajny chłopak pochodzący z plemienia Drzewian. On wraz z kupcami ruskimi wyrusza do stolicy Bizancjum — Carogrodu, ma interesujące przygody w różnych ówczesnych krajach. Powieść jest ciekawa, ma wiele elementów poznawczych.

Okresu największego rozkwitu Rusi Kijowskiej, kiedy panował w Kijowie Jarosław Mądry, dotyczy powieść P. Zahrebelnego „Dywo" (Cud). Jej bohaterem jest nie tylko potężny władca i budowniczy, dbający o jak największy rozwój kultury w państwie — Jarosław Mądry, ale też i artysta, który wyszedł z ludu i ten lud reprezentuje — Sywook. Akcja toczy się w okresie, kiedy tworzono największe zabytki architektury i malarstwa staroruskiego, m. in. Sofijski Sobór.

Pisarze ukraińscy często wracają do dziejów rozkwitu Sieczy Zaporoskiej. W okresie międzywojennym były szczególnie popularne powieści Andrija Czajkowskiego o tematyce kozackiej, rozczytywała się w nich młodzież zachodnioukraińska; powieści te czytane są do dziś, bo w okresie powojennym również wyszedł z druku tom A. Czajkowskiego.

Inna powieść — Marii Pryhary „Mychajłyk — ciura kozacki" — przeznaczona jest dla młodzieży. Traktuje ona o czasach hetmana Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego. Pokazano tu m. in. szerzenie się oświaty wśród Kozaków, wewnętrzne tarcia społeczne wynikające ze zróżnicowania wewnątrz tej społeczności.

Natomiast powieść Stanisława Tełniuka „Hraje synie more" pokazuje życie społeczno-kulturalne na Ukrainie w okresie największego rozkwitu kozaczyzny. Autor przedstawia międzynarodowe znaczenie idei wyzwoleńczych Kozaków...

Z kolei Teodor Mykytyn w powieści „Nad Kudakiem" opisuje fakt zrujnowania przez Kozaków twierdzy Kudak. Jak wiadomo, twierdza ta zbudowana została na Zaporożu na prawym brzegu dolnego Dniepru według planu G. Beauplana celem zapobieżenia łączenia się Kozaków zaporoskich z chłopami ukraińskimi, miała też ona osłaniać południowe granice Polski. Czytelnik powieści obserwuje walkę z Turkami, wybory hetmana kozackiego i inne ciekawe wydarzenia. T. Mykytyn napisał jeszcze kilka powieści historycznych (np. „Pod murami Lwowa", „Pułki idą na Halicz", „Pułkownik Semen Wysoczan"). Wszystkie one oparte są na poważnych materiałach historycznych, sam pisarz tę historię na podstawie źródeł rekonstruuje.

Jeśli idzie o czasy nieco późniejsze, a więc wiek XVIII i nawet XIX, to wykorzystywane są nadal takie postacie, jak Hryhorij Skoworoda, wędrowny filozof i pisarz XVIII wieku, Karmeluk — legendarny ludowy bojownik, opryszek z terenu wschodniej części Ukrainy, oraz Ołeksa Dowbusz — bucewski zachodnioukraiński zbójnik, który jednocześnie mści się na ciemiężycielach ludu. Pisarze po nowemu pragną spojrzeć na postacie, które niejednokrotnie już przyciągały uwagę pisarzy na Ukrainie.

M. I.

Komputeryzacja – słup mydłem posmarowany

Jerzy Dostatni

GDYBYM napisał, że rektor wrocławskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej, prof. dr Józef Popkiewicz, jest najlepszym murarzem wśród polskich naukowców i najlepszym naukowcem wśród murarzy — byłaby to prawda niezupełnie pełna. Bo te murarskie kwalifikacje rektora nie są ani przypadkiem ani formalnością. Po prostu podczas okupacji młody Józek Popkiewicz musiał z czegoś żyć, więc został murarzem i zaraz po wojnie złożył z powodzeniem egzamin na czeladnika, a nieco później na mistrza murarskiego. Otrzymany w Kielcach dyplom mistrzowski jest — jak powiada dziś rektor — na oko znacznie ładniejszy, niż późniejszy dyplom doktorski.

Rektor Popkiewicz wcale się tego swojego pierwotnego zawodu nie wstydzi. Więcej — kwalifikacje zdobyte na budowach wciąż mu się bardzo przydają. Bo właśnie dzięki tym kwalifikacjom, co z dumą sam podkreśla, zbudował w ciągu trzech miesięcy pawilon, obejmujący audytorium na 300 miejsc oraz 3 laboratoria języków obcych po 16 kabin każde — za 600 tys. zł. Dokumentacja na ów pawilon istniała tylko w rektorskiej głowie, która równocześnie wykorzystała sprytnie pagórki terenu na odpowiednie ukształtowanie audytorium, gdzie każde miejsce odznacza się doskonałą widocznością i słyszalnością. Jak potem obliczyli fachowcy — bo wreszcie jakieś dokumenty trzeba było stworzyć — pawilon powinien był kosztować dwa i pół miliona złotych, a jego budowa trwać przynajmniej rok.

Rektor Popkiewicz miał również doskonały pomysł w innej dziedzinie. Uczelnia posiada dwa komputery — Odra 1003 i Odra 1204, oba dość wysłużone, a ponieważ uczą się na nich studenci, więc nic dziwnego, psują się, a ściślej — psuły się dość często. To dezorganizowało dydaktykę i opóźniało wykonanie prac zleconych dla przemysłu. Rektor zaangażował więc trzech konserwatorów, którym płaci wysokie pensje miesięczne — pod warunkiem, że komputery będą działały przynajmniej po 12 godzin na dobę. Za każdą godzinę przestoju potrąca konserwatorom po 100 złotych, nie słuchając żadnych wyjaśnień o braku części zamiennych czy innych komplikacjach. I okazuje się, że od tego czasu komputery działają znakomicie, a potrącenia zdarzają się niezwykle rzadko. I obie strony są zadowolone. Pomysł wart chyba szerszego upowszechnienia!

Ale nie przyjechałem do Wrocławia po to, aby zaglądać pod podszewkę rektorskich życiorysów, czy ujawniać rozsądnie i po gospodarsku prowadzone inwestycje, kłócące się jednak wyraźnie z powszechnie obowiązującymi przepisami. Jestem w grupie osób, które zwiedzają fabrykę komputerów „Elwro" oraz odpowiednie pracownie i laboratoria Politechniki Wrocławskiej i Wyższej Szkoły Ekonomicznej. W ciągu dwóch dni wpakowano nam do głów tyle wiadomości z zakresu budowy i działania komputerów, informatyki, programowania, pamięci ferrytowej i bębnowej, taśm magnetycznych, kart perforowanych, kodów itd. itd. — że kręci mi się w głowie niczym w Odrze 1304: z szybkością 50 tysięcy operacji na sekundę. A mojej pamięci i notatek też nie ma co porównywać z tzw. pamięcią zewnętrzną owego komputera — 50 milionami znaków. Więc tylko skrótowo o niektórych sprawach.

Pierwsze prace nad skonstruowaniem nowoczesnych maszyn matematycznych podjęto w Warszawie, gdzie w 1948 roku w ramach Państwowego Instytutu Matematycznego powstała Grupa Aparatów Matematycznych. Tam właśnie skonstruowano pierwszy, miniaturowy zresztą, model wielkich maszyn przekaźnikowych, oparty jeszcze na przekaźnikach elektromechanicznych a nie na lampach elektronowych, liczący z szybkością zaledwie jednej operacji na sekundę. W stolicy powstało potem jeszcze kilka różnych typów — PAR, EMAL, ZAM — ale konstrukcje te kończyły się na seriach prototypowych.

We Wrocławiu zaczęło się nietypowo. W połowie marca 1958 roku Społeczny Komitet Budowy Wrocławskiego Ośrodka Telewizyjnego wystąpił do wicepremiera Piotra Jaroszewicza z memoriałem o uruchomienie w częściowo zniszczonych budynkach dawnej cukrowni fabryki telewizorów. Dopiero po latach okazało się, że wrocławianom chodziło nie tylko o same telewizory, ale także, a raczej przede wszystkim, o uruchomienie produkcji różnych elementów i podzespołów elektronicznych, co miało być pierwszym krokiem do uruchomienia produkcji maszyn elektronowych. Po pięciu tygodniach przyszła od wicepremiera odpowiedź pozytywna i w lutym 1959 roku powstały Wrocławskie Zakłady Elektroniczne T-21, znane dzisiaj pod początkowo tylko telegraficznym skrótem „Elwro".

Wkrótce dwudziestu młodych ludzi z Wrocławia, którzy dopiero co otrzymali dyplomy z elektroniki lub matematyki, pojechało na staż do Zakładu Aparatów Matematycznych w Warszawie oraz Instytutu Badań Jądrowych w Świerku. Gdy wrócili pod koniec roku — natychmiast zasiedli do konstruowania pierwszego modelu własnej maszyny cyfrowej — tyle że w o połowę zmniejszonym składzie, bo modna wówczas kompresja etatów nie oszczędziła i tej przyszłościowej dyscypliny.

W grudniu 1960 roku pierwszy model — Odra 1001 — został ukończony i zdawał egzamin praktyczny. A konstruktorzy zasiedli do nowego modelu — Odry 1002 — który miał być już prototypem serii przemysłowej. Tu warto dodać, że pierwszy model oparty był na lampach, następne egzemplarze tej serii na tranzystorach, a Odra 1002 już na praktycznie niezawodnych elementach półprzewodnikowych, przy czym niemal wszystkie elementy i podzespoły były produkcji krajowej.

W stolicy nie wszystkim podobał się upór wrocławskich naukowców i konstruktorów, stąd też do „Elwro" przeniesiono montaż komputera UMC-1 konstrukcji warszawskiej. Ale w fabryce mimo to niemal co roku budowano modele własnej konstrukcji: Odra 1003, Odra 1013, Odra 1103, Odra 1204. Wskazywały one coraz większą prędkość operacyjną, coraz pojemniejszą pamięć, wciąż mniejszą wagę, doskonalszą sprawność. W roku 1964 specjalna komisja państwowa zakwalifikowała Odrę 1003 do produkcji seryjnej — pięciokrotnie szybszą od UMC-1 i posiadającą dwukrotnie pojemniejszą pamięć, a zużywającą 10 razy mniej prądu oraz trzykrotnie lżejszą. Triumf wrocławskich elektroników był olbrzymi — Polska po ZSRR stawała się drugim producentem elektronicznych maszyn cyfrowych w krajach socjalistycznych.

Rok 1969 przyniósł nową serię — Odra 1300. Jest to komputer III generacji (układy scalone), właśnie ten, który wykonuje 50 tysięcy operacji na sekundę, a którego pamięć zewnętrzna obejmuje 50 milionów znaków. Jest u nas pierwszą maszyną cyfrową przystosowaną do przetwarzania danych, czyli umożliwiającą automatyzację procesów zarządzania. Konstrukcja oparta jest na zestawie modułów, które można układać w większe lub mniejsze systemy, bardziej uniwersalne lub wyspecjalizowane — zależnie od konkretnych potrzeb użytkownika. Są tu różne odmiany komputera o różnym zakresie działania i dla różnych celów. Ale wszystkie o wysokim standardzie światowym.

„Elwro" dla przeciętnego człowieka jest nieco dziwną fabryką. Nie ma tu żadnego szumu, stukotu maszyn, wszędzie panuje niemal idealna cisza. Przed zwiedzeniem hal produkcyjnych muszę nałożyć filcowe pantofle — niczym w muzeum. Całe ściany hal to wielkie okna, sufity też są oszklone. Powietrze klimatyzowane. W hali montażowej królują młode dziewczęta — wszystkie po ukończeniu specjalistycznego technikum. Fabryka zatrudnia około 5 tysięcy ludzi — w tym cały tysiąc pracuje w ośrodku badawczo-rozwojowym. Stosunek raczej niespotykany, ale tu konieczny. Komputery bowiem starzeją się niezwykle szybko. Nie tracą początkowej sprawności i użyteczności, ale potrzeby narzucają wciąż nowe, coraz doskonalsze rozwiązania. Zarówno bieżąca produkcja jak i badania rozwojowe to wynik trudnej pracy wymagającej wielkiej wiedzy kadry ludzi, od dyrektora począwszy a na najbardziej „szarym" pracowniku skończywszy. I do tego trzeba wielkiego uporu, zdrowej ambicji oraz niezwykłej dokładności i cierpliwości w pracy.

Najnowszym dzieckiem „Elwro" są kalkulatory elektroniczne. Pod tą nazwą kryje się czterodziałaniowa maszyna do liczenia. W naszych przedsiębiorstwach jest trochę maszyn czterodziałaniowych starego typu — większe od dużych maszyn do pisania, ważą około 15 kg, często się psują. Kalkulator elektroniczny waży zaledwie 1 kg z małym dodatkiem. Produkuje się go na licencji japońskiej, zakupionej za dewizy, wypożyczone przez fabrykę na własny rachunek. Stąd też produkcja w większości idzie na eksport i jest nadzieja, że licencja zostanie spłacona już pod koniec bieżącego roku, a w przyszłym rynek krajowy otrzyma kilkadziesiąt tysięcy tych kalkulatorów. Ale kto bardziej niecierpliwy, może kupić już teraz — jednak tylko za dewizy. No cóż, takie są twarde wymagania ekonomii. W skali europejskiej kalkulatory „Elwro 105-L" stały się rewelacją. Pracować mogą w temperaturze od 0 do plus 40 stopni, wykonują operacje, gdy liczba cyfr nie przekracza 12, przy włączaniu lub wyłączaniu automatycznie wskazują 0, nawet tzw. „ujemne" zero, a znak ujemny znika natychmiast, gdy wynik przybiera wartość liczby dodatniej. Na rynku krajowym kalkulator będzie kosztował około 10 tys. zł.

A ile kosztuje komputer? Wbrew pozorom odpowiedź nie jest prosta. Wszystko zależy od — jak mówią w fabryce — „umeblowania", czyli oprogramowania. Skąpiec może sobie sprawić komputer za 3 miliony złotych, ale niewielki będzie miał z niego pożytek, bo komputer bez oprogramowania to kaleka, z którym więcej kłopotu niż pożytku. Tzw. średni zestaw z wszystkim, co trzeba do zarządzania średniej wielkości przedsiębiorstwem, kosztuje około 12 milionów złotych, ale gdy ktoś będzie chciał sobie zainstalować wielki zestaw zagraniczny z różnymi szykanami (jak np. podawaniem wyników obliczeń przez głos damski lub męski — do wyboru) — to i 100 milionów zł z trudem wystarczy, jeżeli naturalnie otrzyma się odpowiedni przydział dewiz, w co raczej można wątpić.

Tyle się dziś mówi o perspektywach informatyki i korzyściach, jakie daje komputer, iż wielu ludziom wydaje się, że wystarczy go zainstalować w fabryce, aby się pozbyć wszelkich kłopotów z zarządzaniem, zamówieniami surowców, gospodarką materiałową itp. Nic bardziej fałszywego. Kierownik wrocławskiego Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, pan Nesterowicz, powiada: droga do komputeryzacji to słup posmarowany mydłem, a tuż przed szczytem, gdzie są smakowite kąski, tego mydła jest szczególnie dużo.

Po pierwsze dlatego, że przygotowanie przedsiębiorstwa do korzystania z komputera przy intensywnej pracy trwa około półtora roku. Jeżeli cała organizacja i papierki nie zostaną przystosowane do wymagań komputera, lepiej dać sobie spokój z jego kupnem — będą tylko wydatki i kłopoty. Po drugie — komputer nie kłamie, ale i sam nie znosi kłamstwa. Jeżeli chociaż w jednym momencie dostarczy mu się fałszywe dane — wynik nieuchronnie będzie fałszywy. A z przykrością trzeba stwierdzić, że przygotowanie tzw. dokumentów podstawowych w naszych przedsiębiorstwach nie zawsze jest zgodne z rzeczywistością, często zaś z sufitem, czasem z pobożnymi życzeniami.

Po trzecie — wykazując błędy i braki w zarządzaniu, konstrukcji czy technologii — komputer wymaga od personelu nowej, lepszej roboty, z czego nie wszyscy są zadowoleni. Także w zjednoczeniach, gdy okazuje się, że np. stosowane od lat wskaźniki dyrektywne są złe, czasem nawet szkodliwe, co całkiem niedwuznacznie obciąża tych, którzy je opracowywali i dawali do wykonania.

Po czwarte wreszcie — opłacalność. Koszt jest wysoki, eksploatacja także. A tu nie wszystkie efekty dadzą się wyliczyć, przynajmniej w pierwszym okresie. Z doświadczeń światowych wynika, że komputer bezwzględnie opłaca się, ale tylko w dużych przedsiębiorstwach. Opłaca się — chociaż efekty nie zawsze są widoczne natychmiast, a jeżeli nawet są widoczne, to nie zawsze da się je dokładnie wyliczyć. W Zakładach Hutniczo-Przetwórczych Metali Nieżelaznych „Hutmen" przedstawiają nam wyliczenie zużycia drogich materiałów przy wyrobie pewnych detali. Dzięki komputerowi ściśle określono w gramach, ile materiału powinno pójść na wyrób każdego detalu. Tradycyjnie zużywane ilości okazały się zbyt wielkie, skłaniały ludzi do marnotrawstwa. Teraz w ciągu roku zaoszczędzono 600 ton, co przedstawiało wartość kilkunastu milionów złotych. Komputer zamortyzował się za jednym zamachem. W innej fabryce powiadają, że dzięki komputerowi przekroczyli „zaczarowaną" dotychczas barierę rozwoju. Szeroko rozbudowany aparat administracyjno-techniczny nie był zdolny przyjąć i opracować w ciągu kwartału więcej niż 300 zleceń od odbiorców. Dodajmy, że każde zlecenie obejmowało kilkadziesiąt, nieraz kilkaset pozycji. Dzięki komputerowi przyjmuje się teraz 3 tysiące zleceń i wszystkie są posegregowane oraz rozdzielone na odpowiednie wydziały produkcyjne, wyliczony jest czas produkcji, ilość surowców itp.

Najnowszym komputerem wrocławskim jest Odra 1325, która powstała pod kierunkiem inż. Bronisława Piwowara. Pracuje ze średnią szybkością 250 tysięcy operacji na sekundę. W zasadzie powinna sterować procesami technologicznymi w przemyśle, ale może być z pełnym powodzeniem używana do wykonywania obliczeń numerycznych lub przetwarzania danych. Gabarytowo należy do maszyn małych, ale pełni funkcje dotychczasowych maszyn średniej wielkości. Jej pamięć operacyjna jest niezwykle szybka. Czas potrzebny na zapisanie lub pobranie informacji wynosi tu jedną mikrosekundę — a zauważyć warto, że rekord światowy w tej dziedzinie wynosi 0,65 mikrosekundy. Można się spodziewać, że w niedługim czasie zostanie on we Wrocławiu wyrównany. A kto wie, może i pobity, jeżeli nieco tylko wcześniejsza Odra 1305 potrzebowała jeszcze 2 mikrosekundy...

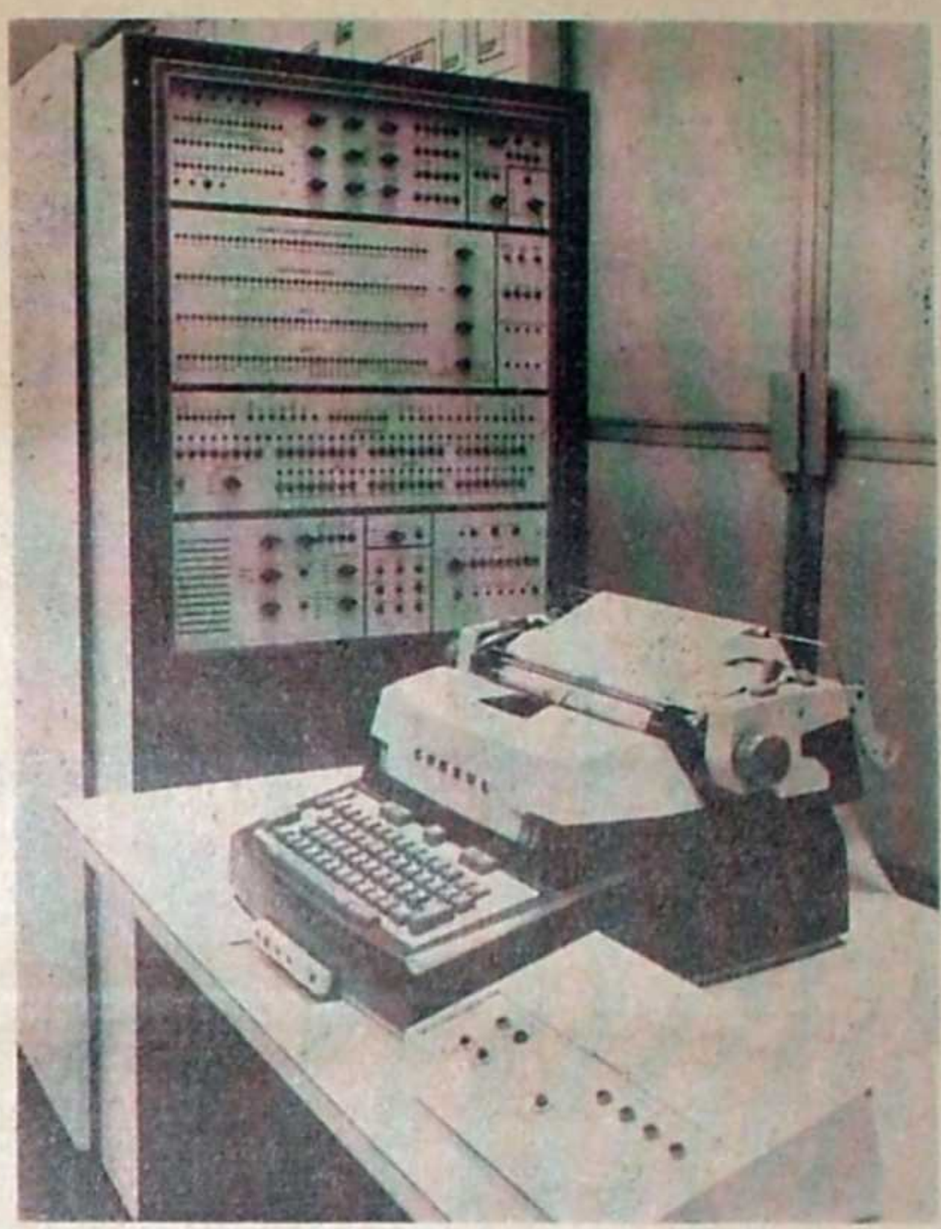

Elektroniczna maszyna cyfrowa 1030

Informatyka, cudowny wynalazek początków drugiej połowy naszego wieku, przy użyciu elektronicznych maszyn cyfrowych stwarza olbrzymie perspektywy rozwoju gospodarczo-społecznego. Wykonuje ona trzy podstawowe zadania: 1) gromadzi olbrzymią ilość informacji o tym, co się na świecie mówi, pisze, pokazuje, konstruuje, odkrywa, produkuje itd., 2) tę olbrzymią ilość informacji porządkuje i klasyfikuje, 3) zgromadzone informacje przetwarza do rozmaitych potrzeb, wykonuje obliczenia, porównuje wyniki, wybiera najlepsze — z określonego punktu widzenia — rozwiązania.

Dom, którego nie ma

ZDOMAMI kultury dzieją się w Polsce rozmaite przedziwne rzeczy. W Ząbkowicach Śląskich remontowano obiekt lat 15, tj. dłużej niż trwała budowa Nowej Huty. W Krzeszowie na Lubelszczyźnie budowano dom kultury lat 19, a następnie sprzedano niewykończony jakiejś instytucji naukowej. — Co dzieje się z domem kultury w Kraśniku? — pytam Stanisława Sprawkę, kierownika kraśnickiego PDK.

— Nic złego ani dziwnego się nie dzieje, poza tym że właściwie PDK w Kraśniku nie ma. To znaczy jest jedna sala, ot i wszystko. Telewizor, stoliki, krzesła. Zespół muzyki młodzieżowej i ludowy zespół taneczny, odpowiednio wyposażone. Działalność środowiskowa w związku z tym anemiczna. Czasem koncerty obu zespołów, spotkania autorskie, odczyty. Nasz sukces środowiskowy to wystawki malarstwa oryginalnego, tego w Kraśniku dotąd nie było i notujemy duże zainteresowanie miejscowych, raz przyszło całe zebranie Ligi Kobiet. Ostatnio odbywał się plener pod hasłem „Ziemia kraśnicka krainą partyzantów", powstało około 30 obrazów, które wiszą w sali, jak pan widzi.

— Perspektywa dla domu kultury z prawdziwego zdarzenia?

— Raczej mizerna. Był około 10 lat temu społeczny komitet budowy domu kultury, zebrano 2 mln zł i jakoś wszystko stanęło w martwym punkcie. Pieniądze wydano na remont i wyposażenie istniejącego „obiektu". Czyli nadal dla miejscowego środowiska niewiele będziemy mogli zdziałać.

— A instruktaż?

— Z tym już lepiej. Mamy w Kraśnickiem 70 klubów „Ruchu" i „Rolnika", którymi się opiekujemy i które pod względem działalności stanowią czołówkę województwa. Są i sakramentalne kłopoty — sprzęt i lokale. Najgorzej z klubami „Rolnika". Oto na przykład GS w Trzydniku zamiast pomyśleć o umocnieniu i należytym wyposażeniu klubu w Owczarni, zwróciła się do Powiatowej Rady Klubów o likwidację tej placówki, pisząc m. in.: „zgodnie z założeniami naszej gospodarki eksperymentalnej, istnienie takiej placówki martwej jest w dalszym ciągu niemożliwe". Pozwolę sobie pozostawić to bez komentarza.

— Osobiście nie wierzę, by można było ludzi na siłę uszczęśliwić pod względem kulturalnym, zmienić ich z dnia na dzień czy nawet z roku na rok. Procesy przemian kultury społecznej odbywają się zwykle jakby bez uczestnictwa zawodowych organizatorów kultury. Zresztą rezultaty pracy owych organizatorów bywają zazwyczaj mizerne. Pan, oczywiście, temu wszystkiemu zaprzeczy?

— I tak, i nie. Chce mnie pan widzę, wplątać w niezmiernie zawikłany kompleks spraw. Trudno w takiej rozmowie rozważyć to metodycznie. Toteż parę spostrzeżeń tylko, na zasadzie impresji. Ludzie są przyzwyczajeni do łatwej kultury — konkurencji dom kultury, skoro na ten rok mamy zatwierdzony budżet 400 tys. zł, a sam fundusz płac wynosi 430 tys. zł, czyli musimy wypracować dochód, a więc rozprowadzać bilety płatne na nasze imprezy? W ogóle kulturą dysponuje zbyt wiele pionów — stara to prawda — różni ludzie, różne rozliczenia, różne budżety. W efekcie — rozproszenie środków i nikłe rezultaty merytoryczne...

— Czyli słabo ze współdziałaniem, jeśli przyjmiemy słuszność policentrycznego modelu kultury w naszym kraju?

— Ze współdziałaniem generalnie nie najweselej, choć na przykład współpraca między PDK a ZDK w Kraśniku Fabrycznym układa się dobrze, może dlatego, iż obecny kierownik ZDK to dawny kierownik PDK, ja bowiem swoją funkcję sprawuję dopiero od 1970 roku.

— Zostawmy współdziałanie, zajmijmy się samymi domami kultury. Czy nie sądzi pan, że model takiej placówki stanowi już pewien anachronizm, jeśli nawet kiedykolwiek był w pełni funkcjonalny? Przecież domy kultury w Polsce obliczone są przede wszystkim na młodzież i ludzi wiekowych, całe średnie pokolenie jakby wymykało się spod wpływów tych placówek.

— Tak, model placówki kulturalnej, zresztą model zróżnicowany, to kwestia, przed którą właściwie dopiero w naszym kraju stoimy. I nie szybko będziemy ją mogli rozwiązać, zaczynać by wypadało od eksperymentów praktycznych, jak to było w szkolnictwie lubelskim, po latach przyjdą rezultaty. Ale na razie trzeba kłaść nacisk na współdziałanie w istniejących warunkach. Że może to dać dobre rezultaty, świadczy nasz Festiwal Pieśni Partyzanckiej, boję się tylko, że ta impreza przerośnie wkrótce możliwości organizacyjne i finansowe Kraśnika, czyli nadal istnieje konieczność szerszej współpracy... Zresztą dużo by o tym mówić, a czasu mało.

— Panu się spieszy, do domu daleko?

— Mam obiecane mieszkanie w Kraśniku, ale na razie muszę dojeżdżać 20 km z Zakrzówka, żona tak samo, bo również pracuje w Kraśniku. To nie tylko moje kłopoty, i wierzę, że zostaną usunięte. Ludzi bowiem mamy dobrych, pracują, ile trzeba, i — nie przesadzam — ojcowie powiatu usiłują im iść na rękę.

Rozmawiał: MP

Jugosławia 1972 (3)

Klimat klimatem, ale...

Marek Adam Jaworski

LEON MOHAR z lublańskiego „Agrostroju" wita nas po polsku. Zasób słów nie kończy się u niego tylko na tradycyjnym „dzień dobry". Aż się nie chce wierzyć, że opanował nasz język w ciągu roku.

— W naszej fabryce był na rocznej praktyce pewien inżynier z Warszawy. Prosiłem go, aby mówił tylko po polsku. Osłuchałem się i dzisiaj jako tako daję sobie radę. O, panowie spadli mi jak z nieba. Właśnie napisałem tekst reklamowy naszych deszczowni, sądzę, że można tu sporo wygładzić.

Pochylamy się z Wojtkiem nad kartką. Reklamówka jest krótka, ale treściwa. Zmieniamy szyk zdań, szczegóły techniczne i nam nastręczają sporą trudność.

Na stole zjawia się kawa. Mohar znika na chwilę, wraca z napoczętą butelką koniaku.

— Sekretarka dyrektora trzyma koniak pod kluczem. Zapytała, ilu mam gości, odpowiedziałem, że dwóch, to i dała mi tylko dwa kieliszki.

Jest parny ranek, bardziej smakuje woda mineralna niż alkohol. Woda mineralna jest zresztą znakomita — „Kniaź Miłosz" świetnie gasi pragnienie.

Mohar wprowadza nas w tajniki zakładu, który zatrudnia 400 osób pracujących bezpośrednio w produkcji. On sam jest właśnie projektantem deszczowni — agregatów pompowych z napędem spalinowym, znanych zresztą już nieźle w Polsce. Zresztą zawarliśmy układ kooperacyjny: polskie silniki, a pompy jugosłowiańskie, montaż deszczowni będzie odbywać się w Łodzi.

Sprawy gospodarcze interesowały mnie w Jugosławii znacznie mniej od problematyki kulturalnej, nie mniej warto o nich nieco powiedzieć, zwłaszcza, że ostatnio, po wizycie prezydenta Tity w Warszawie, polsko-jugosłowiańska współpraca na tym polu znacznie się ożywi. Na kraje socjalistyczne przypada obecnie 25 proc. obrotów handlu zagranicznego Jugosławii, a Polska zajmuje po Związku Radzieckim, Czechosłowacji i NRD czwarte miejsce. Interesujący jest fakt, że dostawy wyrobów z polskich fabryk do jugosłowiańskich i jugosłowiańskich do polskich wynoszą 20 proc. ogólnej wymiany, a więc kooperacja jest już dzisiaj poważnie rozwinięta.

Kto z kim konkretnie współpracuje? Fabryka Samochodów Osobowych na Zeraniu z kombinatem „Crvena Zastava". W tej pięciolatce wzajemne dostawy przekroczą sumę 130 milionów dolarów. Zapewne nie wszyscy posiadacze „Fiatów 125" wiedzą, że „Crvena Zastava" wyposaża je w chłodnice, resory, tylne mosty, tłoki, a nawet wycieraczki.

Od listopada ub.r. obowiązuje umowa kooperacyjna w przemyśle ciągników i maszyn rolniczych. Wspomniałem o deszczowniach jugosłowiańskich. My zrewanżujemy się traktorami. Nasze „Ursusy" C-335, C-355 i C-385 będą produkowane w jugosłowiańskich zakładach „Pobieda".

Elbląski „Zamech" współpracuje z kolei z przedsiębiorstwem „Jugoturbina", które według polskiej licencji produkuje m.in. turbiny energetyczne o mocy 120 MW.

Turbiny rzecz wielka i cenna, ale przeciętnego obywatela bardziej interesują rzeczy powszechnego użytku, tzw. „biała technika". Jugosławia na tym polu ma wiele osiągnięć. Pewien Serb, który był na delegacji służbowej w Polsce i szczególnie interesował się zakładami gastronomicznymi, powiedział mi mniej więcej tak:

— Bardzo smakuje mi polska kuchnia. Ale to, co się dzieje w w waszych kuchniach restauracyjnych, zdumiało mnie. Ci ludzie pracują jak w ukropie. Dwoją się i troją, aby przygotować kolejną porcję czystych naczyń. Przecież to są prace, które można i trzeba jak najszybciej zmechanizować.

Nie widziałem kuchni restauracyjnej w Jugosławii, widziałem natomiast kuchnię w domu znajomego dziennikarza. Nie sądzę, aby pani domu zbytnio się w niej napracowała. Lada chłodnicza, automatyczna zmywarka do naczyń, lampowe podgrzewacze. Czego tam nie było!

Na razie bodaj tylko fabryka „Gorenje" w Słowenii współdziała z wrocławskim zakładem „Polar" w produkcji lodówek i automatycznych pralek. W oparciu o wzajemne dostawy części i urządzeń „Polar" dostarczyć ma w tym roku na rynek 20 tys. pralek automatycznych (PS 663 bio). W porównaniu z ub. rokiem jest to wzrost dziesięciokrotny, ale plany zakładają, że te 20 tys. to tylko 10 proc. tego, co „Polar" wyprodukuje w 1976 roku. A więc olbrzymia dynamika.

Za pralkami pójdą lodówki o pojemności od 80 do 175 litrów.

W Białymstoku zaczął się montaż bojlerów elektrycznych. Wykorzystano w tym celu starą, zrekonstruowaną fabrykę tekstylną. Inżynierowie i technicy zostali przeszkoleni w Jugosławii.

To na pewno dopiero początek drogi. Przypuszczalnie już w niedługim czasie nawiążemy współpracę kooperacyjną w produkcji innych artykułów gospodarstwa domowego. Z jednej i z drugiej strony są dążenia w tym kierunku.

Trzeba tu też odnotować interesujący kontrakt, jaki lublański kombinat „Emona" zawarł z naszym Ministerstwem Rolnictwa. Rzecz niebagatelna: Jugosłowianie zaprojektują nam i wyposażą wielką fermę trzody chlewnej w rejonie Zielonej Góry, która rocznie będzie dostarczać na rynek 36 tysięcy tuczników.

Niezwykle pracowity korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Belgradzie, red. Wł. Knycpel, który ostatnio szczególnie interesował się problemami współpracy gospodarczej między Polską a Jugosławią, podał szereg interesujących danych. Nasz kraj uczestniczył w budowie wielu obiektów przemysłowych w Jugosławii. Sprzedaliśmy aglomerownię dla huty w Jasenicach, kompletną walcownię dla huty Store, taśmociągi, wrębiarki, kombajny, maszyny włókiennicze, budowlane, rolnicze, obrabiarki. Od 1964 r. eksportujemy do Jugosławii urządzenia energetyczne, m. in. kotły dla elektrowni „Kosowo-3", „Kosowo-4" i „Kosowo-5", bloki energetyczne dla elektrowni „Morava", turbinę i generator dla elektrowni „Plomin". Realizujemy kontrakt na budowę huty szkła w Panczewie.

Zarysowuje się możliwość współpracy polsko-jugosłowiańskiej w produkcji magnezytu z wody morskiej, a także w produkcji tlenku glinu i niklu.

Piszę te słowa w upalną niedzielę lipcową. Spotkałem dziś pewnego dobrego znajomego, który właśnie wybiera się do Jugosławii. Jedzie po raz pierwszy i prosił, bym mu poradził: gdzie rozbić namiot, co zobaczyć. Przestudiował dobrze mapę, ustalił trasę wzdłuż Adriatyku, ale chce zwiedzić jak najwięcej. Zaproponowałem mu, żeby — jeśli dysponuje czasem — nie ominął Bledu, no i słynnych jaskiń w Postojnie. Zwłaszcza te ostatnie sprawiają wprost niesamowite wrażenie. Wspaniałe nacieki wapienne w postaci stalaktytów, stalagmitów i stalagnatów, bogata fauna pochodząca niekiedy z okresu trzeciorzędu, podziemna rzeka — człowiekowi wydaje się, że znalazł się w baśniowym świecie. Groty i korytarze ciągną się na przestrzeni prawie 30 km, ale całość nie jest udostępniona do zwiedzania. Wystarczy jednak przejechać kilka kilometrów podziemną kolejką — śmieszne wagoniki przypominające te, które widzi się w lunaparkach, i później przejść się kilometr po wytyczonej trasie, aby mieć wrażenia na całe życie.

Postojnę zwiedza w ciągu roku ok. 300 tysięcy turystów, dosłownie, jak mi mówiono, z całego świata. Zważywszy, że bilet kosztuje 27 dinarów albo dolar i sześćdziesiąt centów, można przypuszczać, iż do tego interesu nikt nie dokłada, zwłaszcza, że i zestawy pamiątkarskie (zdjęcia, slajdy, znaczki etc.) muszą przynosić zyski. Przy grotach ulokowano nowoczesne hotele, bo turystę w Jugosławii się szanuje i chce się, by pozostawił on jak najwięcej pieniędzy, a zwłaszcza... dewiz. Nie wiem, jak będzie w tym roku, ale kwietniowa ospa trochę wystraszyła gości zagranicznych. Słyszałem, że wiele anonsowanych uprzednio wycieczek z krajów skandynawskich anulowało swój przyjazd, choć ospa, zwana tu... boginią, już dawno wygasła. Teraz w zachodnich magazynach znalazłem zdjęcia z Jugosławii, przedstawiające puste hotele, baseny, bary... Zapewne jest w tym trochę przesady, szukania sensacji za wszelką cenę, niemniej sami Jugosłowianie wyrażali już w maju niepokój co do tegorocznych perspektyw. Dodam, że na ospę chorowały 173 osoby, z których 34 zmarły. Ponieważ Jugosławia czerpie z turystyki poważne dochody w zagranicznych środkach płatniczych, ów niepokój jest w pełni uzasadniony.

Niezależnie jednak od tego, co będzie, faktem jest, że nasi południowi przyjaciele potraktowali turystykę jako przemysł i nawet jeśli w tym roku spotkają ich pewne niespodzianki nikt im nie odbierze tego, co zbudowali. A zbudowali wiele i naprawdę szybko.

Przybysza z Polski, zwłaszcza tego, który zna Jugosławię przedwojenną, albo nawet tę sprzed lat piętnastu, dziwią nie tylko te nowoczesne hotele-wieżowce, które powstały jak grzyby po deszczu, ale i małe motele, pola kemp'ngowe, rozwinięta sieć gastronomiczna. Dziwią również... pomysły.

Dokończenie na str. 10

Poznali się w trolejbusie...

Dokończenie ze str. 1

Krawiec inkasował dolary, wydawał płaszcz oraz, powiedzmy, 8 400 zł polskich reszty i transakcja gotowa. Barbara M. stosowała też numer z wypadkiem samochodowym. Ma akurat wypadek samochodowy, musi zapłacić poszkodowanemu 10 tys. zł od ręki, posiada właśnie 100 dolarów i tak dalej. Takimi sposobami nabrała w Lublinie parę osób.

Ale to wszystko nie były interesy. Dostawca za drogi, towaru za mało, pośrednik lubelski chce uczestniczyć „po pałam", taki zuchwalec. Nie jest dobrze. Tym więcej, że latem 1969 roku wraca z więzienia poprzednia kobieta Żuko i poczyna mu robić niejakie wymówki na tle miłosnym. Barbara M. rusza więc do mamusi w Częstochowie. Przedtem jednak, bawiąc u Cyganów we Włochach pod Warszawą, znajduje sobie nowego dostawcę, który miesiąc temu opuścił więzienie, gdzie siedział za kradzież z włamaniem.

W śledztwie Barbara M. zeznała, że nowy dostawca i jego żona byli zarazem producentami sfałszowanych dolarów. On sam utrzymywał iż banknoty dolarowe dostawał od pewnego Cygana, który teraz bawi w Szwecji. Tak czy owak, tutaj już się zaczął wyłaniać dla Barbary M. dobry interes, jeszcze może nie całkiem doskonały, ale już niezgorszy. Odtąd będzie płacić za sfałszowane dolary po zł 1500 za setkę zrobioną z dwójki, 1000 zł za setkę zrobioną z jedynki (te banknoty pokazywano w TV, ostrzegając przed oszustwem, więc są tańsze, bo ryzyko rozprowadzania większe) oraz 700 zł za pięćdziesiątkę zrobioną z jedynki. Nowy dostawca uzbroił także Barbarę M. w cudzy dowód osobisty, w którym wklejone zostało jej zdjęcie. Tak wyposażona zjawia się w Częstochowie, gdzie za pośrednictwem pewnego taksówkarza odstawia parę numerów z wypadkiem samochodowym. Klienci są łatwowierni, oglądają dowód osobisty, pocierają „setkę" dolarową o papier i... kupują, a nawet jak się ten czy ów po paru dniach zorientuje, co nabył, wówczas Barbara M. chętnie zwraca pieniądze, twierdząc, że sama padła ofiarą oszustwa.

Z nowym dostawcą współpracuje się coraz lepiej, a w każdym razie, choć nie bez zgrzytów, coraz szerzej. Mówi się już nawet o handlu „rakami", czyli fałszywymi 500-dolarówkami. Do współpracy znowu włącza się Żuko, pełniący funkcję obstawy i jeżdżący z Barbarą M. po całej Polsce. Serce sercem, a interes interesem. W śledztwie Żuko będzie twierdził, że jedynie nieśmiało domyślał się, iż Barbara M. handluje dolarami. Jeździł z nią, bo go prosiła, o co chodzi...

Działają we Wrocławiu, Toruniu, Krakowie, Poznaniu, Gliwicach, Łodzi, Radomiu, nie ominą takiego choćby Garwolina. Barbara M. mówi nieźle po rosyjsku, przedstawia się więc w sklepach prywatnych kuśnierzy jako turystka ze Związku Radzieckiego, która chciałaby nabyć... futro, może jakieś łapki karakułowe, grzbiety piżmowców, tylko że dysponuje jedynie dolarami. Nie ominię prywatnego szewca, u którego kupi dwie pary „kozaczków" i rozmieni kolejną 100-dolarówkę. W ten sposób nabędzie nawet suknię ślubną. Ludzie wierzą w turystkę ze Związku Radzieckiego, która w Polsce kupuje futro. W najgorszym wypadku klient, zorientowawszy się, że go oszukano, zniszczy kupione dolary, jak to uczyniła pewna pani, paląc 650 dolarów, za które zapłaciła Barbarze M. 52 tys. zł.

Jest 13 lipiec 1970 rok. Barbara M., Żuko oraz jego brat Maksym znajdują się we Wrocławiu. Feralna „trzynastka"! W sklepie bieliźniarskim Barbara M. podrywa klienta na 1800 dolarów w pięćdziesiątkach za 180 tys. zł. Umawia się z nim w ustronnym miejscu. Klient, właściciel prywatnego zakładu ogrodniczego, przywozi pieniądze, ale jest nieufny, prosi Barbarę M. o banknot dolarowy, który chce sprawdzić w pobliskiej PKO. Barbara M. wyciąga przygotowany na taką okazję jedyny oryginalny banknot 50-dolarowy, klient rozmienia go w PKO na bony i transakcja zdaje się rozwijać pomyślnie.

Od tego jednak momentu przebieg zdarzeń każdy z oskarżonych przedstawia inaczej. Że klient z pieniędzmi i Barbarą M. podeszli do siedzących opodal na ławce osobników (Żuka i Maksyma) prosić o ogień, a wtedy Barbara M. wytrąciła klientowi pakiet pieniędzy z ręki i zaczęła się szamotanina... Że klient, krzycząc: „moje pieniądze", wytrącił Barbarze M. swoją forsę z jej ręki, a sam zgubił kupione dolary i zaczęła się szamotanina... Że któryś z Cyganów uderzył klienta... Że nie uderzył, tylko przytrzymał, gdy klient gonił Barbarę, wołając: „moje pieniądze"... Faktem jest w każdym razie, że klient gonił Barbarę, a ta uciekała tak, iż jej obuwie z nóg spadło. *Ja się nie bawiłam w kradzieże i nie zamierzałam kraść, to była transakcja, nie napad* — twierdzi oskarżona, którą tamtego właśnie dnia aresztowała milicja. Do momentu aresztowania Barbara M. „obróciła" około 10 000 fałszywych dolarów na kwotę 1 mln zł.

Cofnijmy się jednak nieco w czasie — do kwietnia 1970 roku. W Radomiu mieszka niejaki Zbigniew K., człowiek dwudziestokilkuletni, z rzadka tylko pracujący, dwukrotnie karany, ostatnio za fałszowanie książeczek PKO i wyłudzanie tą drogą gotówki od państwa. Siedząc w więzieniu z bratem Żuko — Maksymem, nauczył się cygańskiej mowy i zawarł z nim jakowyś chyba ślub braterstwa. Zresztą Barbara M. również zna język cygański i jako znak przynależności do środowiska nosi wytatuowane na twarzy maleńkie kółko. Ten to Zbigniew K. pewnego dnia „z nudów" odrysowuje sobie w zeszycie banknot 1000-złotowy. Druga próba jeszcze bardziej udana, posłużył się bowiem lepszym papierem. Z tym drugim banknotem jedzie Zbigniew K. do Świdnika, odwiedzić swego kumpla, Maksyma. Popijają w Lublinie u Cyganki Mury i puszczają banknot w obieg, zakupując wódkę.

Niebawem — jak wynika z pierwotnych zeznań kilku oskarżonych — zjawia się w Radomiu u Zbigniewa K. sam Żuko wraz z Barbarą M. Zawierają umowę, że za każde 1000 zł Zbigniew K. otrzyma 300 zł i nic go więcej nie obchodzi. Zbigniew K. dostaje zaliczkę i ma przystąpić do „produkcji". Żuko i Barbara M. obwożą go teraz po Polsce, szukając spokojnego lokalu na cele „produkcyjne". Lecz że człowiek jest trunkowy, w Częstochowie w ogóle nie zaczyna roboty, w Łodzi zaś sporządza 20 falsyfikatów tylko jednostronnie, następnie zaś w podobny sposób jeszcze 8 falsyfikatów. Ponieważ towarzystwo jakoś nie może dojść do porozumienia — Żuko lubi dać po buzi za niesubordynację — kontakty pary kochanków - wspólników ze Zbigniewem K. urywają się. Wkrótce zaś Barbara M. zostanie aresztowana.

Tymczasem Zbigniew K. kończy „produkcję" 28 falsyfikatów i udaje się do Kielc, gdzie innemu Cyganowi, również poznanemu w więzieniu, wręcza 9 sztuk 1000-złotówek, otrzymując po 100 zł za każdą. Transakcja ta nie wydaje się Zbigniewowi K. korzystna, przeto w Radomiu znajduje Cygana Ciapka, któremu sprzedaje pozostałe 19 falsyfikatów po 300 zł sztuka. O tym, w jaki sposób wszystkie te banknoty wędrowały po Polsce od Cygana do Cygana, a następnie do chłopskich kieszeni i kas sklepów, można by napisać całą epopeję. W sumie Zbigniew K. wypuścił 30 falsyfikatów 1000-złotówek.

Bezpośrednia wpadka nastąpiła w sklepie monopolowym w Puławach 18 listopada 1970 roku. A wszystko przez tę wódkę. Popijając solidnie w większym towarzystwie, Ciapek wręczył falsyfikat jednemu ze swych rodaków na dalszy zakup trunku, do życia niezbędnego. Wysłannik udał się do sklepu, lecz kierowniczce banknot wydał się podejrzany, poprosiła więc męża na konsultację. Słowo w słowo i zdemaskowany falsyfikat został w rękach małżonka sklepowej, który w dodatku sprytnie... odtransportował Cygana na posterunek milicji. Szybko nastąpiły dalsze aresztowania, dotarto też do producenta — Zbigniewa K., który na żądanie organów ścigania, a dla dobra śledztwa, pięknie wyrysował w Komendzie Wojewódzkiej MO w Lublinie pięć dalszych falsyfikatów 1000-złotówek, żeby pokazać, jak on to robił i że faktycznie własnymi rękami to robił. Grzeczny chłopiec.

Wszyscy bezpośrednio zamieszani w tę podwójną sprawę zostali oskarżeni przed sądem. Wobec zwykłych nabywców będzie prowadzone odrębne postępowanie. O faktycznym uczestnictwie w przestępstwie, stopniu winy oskarżonych, wypowie się sąd. Jest to jedna z większych spraw tego rodzaju, aczkolwiek ze względu na charakterystykę psychologiczną oskarżonych nie jest to chyba sprawa szczególna (na 21 osób spośród nich — 11 miało za sobą wyroki sądowe).

Maciej Podgórski

Listy do KAMENY

„Noty" o zabytkach...

W związku z zamieszczoną w numerze 12 „Kameny" z dnia 4 czerwca 1972 r. w rubryce „Noty i notki" informacją na temat „spisu zabytków", Wojewódzki Konserwator Zabytków uprzejmie komunikuje, że nie wydawał żadnego spisu na powielaczu ani w innej formie.

Notatka odnosi się prawdopodobnie do „Wykazu zabytków województwa lubelskiego" wydanego w 1971 r. przez Komisję Opieki nad Zabytkami Oddziału Lubelskiego PTTK. Wykaz ten, oprócz zabytków architektury i budownictwa, zawiera również obiekty archeologiczne oraz pomniki przyrody i rezerwaty, a także izby pamiątek.

Wojewódzki Konserwator Zabytków komunikuje, że zgłaszał swe obiekcje co do ograniczenia wykazu do samego tylko wyliczenia obiektów. Uważał bowiem, że należałoby wydać projektowane swego czasu przez okręgową Komisję Opieki nad Zabytkami wykazy powiatowe, obejmujące nie tylko zabytki, lecz także miejsca historyczne, a także wszelkie obiekty i miejsca mogące budzić zainteresowanie i zasługiwać na ochronę jeśli nie państwową, to społeczną. Oczywiście mowa była wówczas o wykazach zawierających krótkie informacje na temat poszczególnych obiektów.

Ponieważ jednak okręgowa Komisja Opieki nad Zabytkami była zdania, że należy przede wszystkim w szybkim czasie dać społecznym opiekunom zabytków wykaz choćby w ograniczonej formie, Wojewódzki Konserwator Zabytków zgodził się przygotować przedmowę do tej publikacji. Treść tej przedmowy traktuje wyłącznie o zabytkach architektury i budownictwa, gdyż Wojewódzki Konserwator Zabytków nie był poinformowany o tym, że innego rodzaju obiekty również znajdą się w wydawnictwie.

Wojewódzki Konserwator Zabytków przyznaje, że sugerował wydawcom pominięcie grup klasyfikacyjnych zabytków, gdyż podział zabytków na grupy nie przyniósł żadnemu z nich pożytku, natomiast wielu zabytkom bardzo zaszkodził i może szkodzić nadal.

Jednocześnie Wojewódzki Konserwator Zabytków komunikuje, że Biuro Dokumentacji Zabytków w Lublinie przygotowuje wydawanie powiatowych spisów zabytków urbanistyki, architektury, budownictwa oraz stanowisk archeologicznych, zaopatrzonych w krótkie charakterystyki i informacje historyczne, a także plany określające granice zespołów zabytkowych, podlegających ochronie prawnej.

Wojewódzki
Konserwator Zabytków
Mieczysław Kurzątkowski

Prenumerata zapewnia stały odbiór „Kameny"

Autoportret Demidowskiego

ROK temu Lucjan Demidowski pokazał fotograficzne „Obnażenie", które stało się kamieniem obrazy dla co bardziej obyczajowych obywateli Lublina, jako że na wystawie znalazły się fotograficzne gołe damy, a nawet tors męski rozpięty do pasa, albo jeszcze niżej. Akty były albo po prostu ładne, wysmakowane, ujawniające harmonijną strukturę ciała ludzkiego, albo znów tak zdeformowane, że najbardziej rozbuchany erotoman czuł się wobec nich oszukany. Sporo zatem oficjalnych widzów, którzy walili do salki MDK gęstym i nieustającym strumieniem, było przeciw.

A teraz znów ujawniła się opozycja, już na innym, profesjonalnym piętrze rzeczywistości wznosząca barykady — z powodu kolejnej wystawy indywidualnej Demidowskiego, otwartej w czerwcu w sali lubelskiego BWA. Oto pewien malarz powiedział autorowi, że źle robi nie trzymając się warsztatu fotografika, lecz zapuszcza się — „właściwie bezprawnie" — w rejony grafiki, plastyki w ogóle. „Cwicz oko i dłonie w fotografii obronie".

Zapewne, nie ma większego sensu rozwodzić się nad kwestią wysuniętą przez malarza, za którą stoi anachroniczne przeświadczenie, że artystyczny to znaczy oparty na rzemieślniczej i gatunkowo określonej sprawności. Owszem, jest w tym nieco prawdy, lecz przede wszystkim jest to prawda natury etymologicznej, jako że słowo artisanat znaczy m. in. rzemiosło, a tradycja mocno spięła pojęcie dzieła sztuki z przedmiotem. W czasach konceptualizmu takie rozumienie artystyczności już jednak nie wystarcza. Ale to osobna i szersza sprawa.

Więc rzeczywiście Demidowski nie jest klasycznym fotografikiem, jedna z jego prac do złudzenia przypomina litografię, inne ocierają się o procedurę malarską: są kolorowane i komponowane w sposób niedostępny dla fotografii zwyczajnej, dla której nawet montaż jest herezją, aczkolwiek sporo pojawiło się ostatnio wyznawców takiej herezji. Niewątpliwie natomiast jest Demidowski człowiekiem, który pragnie podzielić się z innymi własnym widzeniem rzeczywistości, własnymi o niej opiniami, ujętymi w formę metafory. Nie jest producentem ładnych obrazków, lecz autorem „ulotek", które ostrzegają. I to właśnie wyróżnia go z setek fotografików, dla których celem jest stworzenie zdjęcia — na wystawę, na sprzedaż, na imieniny krytyka.

Tak, to są ulotki, alarmujące plakaty — które można jednak czytać bez końca, odnajdywać wciąż nowe wątki treściowe zamknięte w komplikacjach formalnych, nie tracąc jednak z pola uwagi głównego przesłania autora. Demidowskiego fascynuje proces niszczenia i rozpadu.

Poza jedną czy dwoma fotografiami o charakterze, powiedzmy to tak, portretowym, we wszystkich pozostałych człowiek traci osobowość, mało tego — przedstawiany jest jako istota dosłownie kaleka, sprowadzona do wygiętego torsu, sygnalizująca swoją obecność kłębowiskiem rąk i nóg. Te kłębowiska znajdują się w ruchu, dokądś pędzą — do wyzwolenia? do ostatecznej zagłady?

Ten opis może komuś zasugerować, że jedynym nośnikiem autorskich treści jest metafora o charakterze literackim, takiż symbol i anegdota. Nieprawda. Demidowski ma za sobą dobrą szkołę owego nieszczęsnego warsztatu fotograficznego — nieszczęsnego, bo wielu utożsamiło go z sensem działalności twórczej — i z wielkim wyczuciem formy buduje sytuacje metaforyczne, których treść unaocznia odpowiednie wykorzystanie tworzywa. Zdjęcie nagiej dziewczyny z kłębowiskiem zmurszałych lin zamiast głowy, byłoby prościutką alegorią, gdyby nie gorąca czerwień, pokrywająca całą jego powierzchnię. Inny motyw, wielokrotnie i od dawna wykorzystywany w fotografii: odrapanego muru starej kamienicy, po którym łatwo dziś ześliznąć się na dno fotograficznego banału — na zdjęciu Demidowskiego traci niejako naturalną małowartościowość, stając się wizualnym symbolem obrzydliwej wręcz starości, rezultatem gwałtu popełnionego przez czas na materii. Tej fotografii nie można dotknąć — w obawie, że się rozleci w proch.

Na wystawie znajduje się kilka zdjęć, jakby to powiedzieć, pejzażowych? Przedstawiają ciemne i wysokie budynki nakryte ciemnym niebem, oddzielonym od dachów błyskiem jasności, albo twarz dziewczęcą na tle rozjarzonej białym światłem drogi. O co chodzi? O kompozycję płaszczyzn, o porządkowanie rytmów, o to, że samotna dziewczyna? Moim zdaniem raczej o to, o co chodziło Riko Debenjakowi w jego „Wymiarach magicznych CXXI EA": o wyrażenie przekonania, że świat nie jest racjonalny.

Wystawę obejrzało dużo ludzi, o czym informuję w przekonaniu, że sztuka ma sens, jeśli jest społecznie obecna.

I J K

Paul Géraldy (1885)

Z cyklu „Ty i ja"

Szczęście

A przecież mogliśmy się nie zobaczyć wcale!
Ukochana, za chwilę ci wszystko wyjaśnię,
jak długo się musiały ważyć Losu szale,
zanim myśmy pokochać się mogli — my właśnie.

„Myśmy się urodzili jedno dla drugiego" —
tak mówisz, ale pomyśl: jaka w tym zawiłość,
ile różnych przypadków i ile zabiegów
trzeba było, by stała się ta nasza miłość.

Zanim mogły się złączyć nasze błędne drogi,
zastanów się, jak żyliśmy samotnie w dali,
i że czas jest tak długi, świat wielki i srogi,
i trzeba było szczęścia, byśmy się spotkali.

Czyś nigdy nie myślała, ma przygodo cudna,
ileż to niebezpieczeństw na szczęście czyhało,
gdy dążąc przez świat drogą tajemną i trudną
ciążyły nasze serca ku sobie wytrwale.

Czy zdajesz sobie sprawę z niepewności szlaku,
który wiódł nas w ten wieczór cichy, najłaskawszy,
że starczył jakiś kaprys czy migrena jaka,
a mogliśmy rozminąć się wtedy na zawsze?

Abażur

Pytasz mnie, czemu milczę, pytasz mnie, jedyna!
Bo oto wielka chwila przynosi milczenie —
godzina oczu, uśmiechu godzina,
jest wieczór i w ten wieczór kocham cię szalenie!
Przyciśnij mnie do siebie. Pragnę twej pieszczoty.
Gdybyś wiedziała, ile rośnie we mnie teraz
ambicji, dumy, pragnień, jakie górne wzloty
mnie pociągają, jaka dobroć w sercu wzbiera...
Lecz nie, ty nie wiesz!... Opuść ten abażur nieco.
W cieniu serce do serca najwymowniej woła
i tym lepiej się widzi, jak się oczy świecą —
im gorzej się przedmioty widzi dookoła.
Kocham cię tak, że milczeć o miłości wolę.
Przyciśnij mnie do piersi!
Chciałbym, aby to na mnie przyszła dzisiaj kolej
być tym, kogo się pieści...
Zasłoń no jeszcze bardziej tę lampę na stole.
Tak. Dobrze. Nic nie mówmy. Możemy pomarzyć.
Nie ruszajmy się wcale. Tak mi jest przyjemnie
czuć twoje ciepłe ręce na mej zimnej twarzy!...
Ale cóż to?! Czego chcą ode mnie?
A, to kawa!... I to teraz... No, bo...
Proszę tutaj postawić to wszystko!
Tylko prędzej!.. Drzwi zamknąć za sobą!..
O czym to ja mówiłem?.. No, przysuń się blisko.
Mamy pić kawę?.. Teraz?.. Tak się spieszy tobie?..
To prawda, że ty lubisz pić bardzo gorącą.
Pozwól, że ci usłużę. Czekaj! Ja to zrobię.
Jaka dziś mocna! Cukru?.. Przepraszam, że trącam.
Tylko jeden kawałek? Czy chcesz, bym skosztował?
Proszę. Weź no swą filiżaneczkę.
Ale jak ciemno! Wszystko się w tym mroku chowa...
Możesz podnieść abażur troszeczkę.

Finał

Cóż, żegnaj. Wszystko wzięłaś?.. Nie bądź bez pamięci...
Już brak nam słów dla siebie. Więc niech się to stanie.
Możesz już odejść... Jednak zaczekaj momencik.
Deszcz pada... Niedługo przestanie.

Ubierz się dobrze! Jesień. Wiesz, zimno na dworze.
Na dobrą sprawę włożyć już mogłaś futerko...
Czy wszystko ci zwróciłem? Coś zostało może?
Twój portrecik? Twe listy? Lusterko?..

Chodźmy! Popatrz się na mnie. Odejdziesz za chwilę...
Tylko nie płacz! Pamiętaj! Głupio i niezdrowo.
Jak trzeba się wysilić, byśmy mogli znowu
ujrzeć w sobie kochanków, którymiśmy byli!

Nasze życie wzajemne było wspólnym mieniem
na zawsze. A tymczasem rzecz to niepodobna:
dziś odejdziemy każde ze swoim imieniem,
by znów zaczynać, błądzić, żyć każde osobno...

Trochę będzie się cierpieć... Cóż, wiadomo przecie.
Aż przyjdzie zapomnienie, co wybacza wszystko,
i będziesz sobie ty, i będę ja na świecie,
i będziem sobie obcy daleko czy blisko.

Tak więc już cię zagarną mej przeszłości fale!..
Może kiedyś cię spotkam idącą ulicą.
Spojrzę z dala na ciebie, nie zbliżę się wcale,
a ty przejdziesz szeleszcząc nieznaną spódnicą.

Potem się nie spotkamy przez długie miesiące,
czasem mi ktoś o tobie szepnie słówko z cicha.
I o ciebie, coś była mą siłą gorącą,
mym życiem, słońcem — spytam: „Co tam u niej słychać?"

To nasze wielkie serce stało się zmartwieniem...
W pierwszych chwilach miłości jak ono szalało!
Pamiętasz te zachwyty i to uniesienie?
Kochaliśmy! I oto — co z tego zostało...

I to myśmy, my właśnie dniami i nocami
powtarzali wciąż „kocham" i to prawdą było.
A jednak to rozrzewnia. Czyśmy dziś ci sami?
Czy podobni do innych? — Jak się rozdeszczyło!

Nie możesz iść w tę słotę. Zostaniesz do rana.
Tak! Zostań! Słuchaj! Jakoś się urządzim.
Nic nigdy nie wiadomo. Chociaż w sercach zmiana,
przypomną sobie może czar wczorajszych godzin.

Zrobimy, na co stać nas, i może się uda.
Że próżno? Ale nawyk coś tu jednak sprawi.
Siadaj! Niech znów przede mną ziewa twoja nuda...
Niech znów samotność ma przed tobą się objawi...

Przełożył: **Kazimierz Andrzej Jaworski**

Feta w

PAN Franciszek Kniaźnin źle spał tej nocy. Zazwyczaj źle sypiał wiosną, kiedy za oknem jego izby już od przedświtu zaczynały swój koncert puławskie słowiki. Chyba nigdzie nie było ich tyle. Bo też księżna Czartoryska każdej wiosny nakazywała służbie wyłapywać w parku wszystkie koty, ładować je do koszyków i przewozić łodzią na drugi brzeg Wisły. W ten sposób księżna pani strzegła bezpieczeństwa szaropiórych śpiewaków. „Że też te ptaki tak nisko wiją swe gniazda! — myślał pan Franciszek wyszedłszy z pałacowej oficyny, żeby się przejść i odetchnąć świeżym powietrzem. — Czują się widać bezpieczne wśród gęstwiny pachnących krzewów. A może ufają w potęgę swoich trelów? Może sądzą, że śpiewem uratują pisklęta? A przecież śpiew ich, jak i poezja, zachwyca tylko i bawi, ale nikogo nie ustrzeże, nie obroni".

Mimowiednie z pamięci wypłynęły słowa własnej pieśni:

Słowiczku śliczny! W różanym krzaku
Co nucisz niezmordowanie,
Nućże mi teraz, milutki ptaku,
I moje łechtaj kochanie!

Słowiki słowikami, ale panu Franciszkowi nie tylko one zakłócały sen dzisiejszej nocy. Trapiły go niepokoje znane każdemu, kto ma oglądać na scenie dzieło swego pióra: „Czy aby spodoba się ono licznie zebranym widzom?" No i (już całkiem niedzisiejsze) obawy: „Czy aby księżna pani pochwali „Matkę Spartankę"? „Czy się jej spodobają wiersze i dobrana do nich muzyka imć pana Lessela?"

Pan Wincenty Lessel przegrał mu wczoraj ważniejsze arie. Bardzo, zdaje się, ładne. Ale czy przypadną do gustu znakomitym gościom, do których zjazdu tak gorliwie szykują się Puławy? Trudno, doprawdy, spać spokojnie, kiedy kogo trapią takie dylema!

Idąc spadzistym zboczem puławskiego parku, pan Franciszek znalazł się nad brzegiem Wisły i zatrzymał na chwilę, żeby popatrzeć do góry. Z tej strony pałac, zawieszony nad stromym urwiskiem, zrastał się niemal ze skałą podmurowaniem z ciosów i tworzył (jak i dziś tworzy) całość piękną i malowniczą. Pan Franciszek postał chwilę, popatrzył z zachwytem i, minąwszy domek chiński, poszedł dalej nadwiślańską aleją. Nagle gdzieś z góry dobiegło go wyraźne wołanie:

— Kniaź-nin-ku! Kniaź-nin-ku!

Rozpoznał głos Niemcewicza, ale nie przerwał przechadzki. Nie miał ochoty na rozmowy i wesołe żarciki, które się zawsze trzymały tego trzpiota, Ursynka. Wołanie jednak zaczęło przebrzmiewać wyraźną nutą zniecierpliwienia. Trzeba się było odezwać.

Szli teraz naprzeciw siebie — Kniaźnin ciężko i powoli wspinał się po stu schodach, które z ogrodu dolnego wiodły w górę. Niemcewicz biegł szybko i lekko. Był o osiem lat młodszy od pana Franciszka, lecz nie różnili się tylko wiekiem. Pan Franciszek po kasacie zakonu jezuitów dawną sutannę zamienił na żupan i kontusz, „mącznych głów" czyli pudrowanych peruk nie lubił, rude długie włosy, niemodnie obcięte w grzywkę nad czołem, spadały mu na kołnierz, a twarz zdobiły sumiaste, sarmackie wąsiska. Napisał nawet o nich długi wiersz, który zakończył wyzwaniem:

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z narodu swego natrząsa,
Ja zaś, z ojczystej kontent postaci,
Zem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.

Ale poza tymi wąsami nie było w nim nic z sarmackiej tężyzny. Szczupły i niewysoki, patrzył na świat nieśmiało swymi ciemnymi wypukłymi oczami krótkowidza.

A młody Niemcewicz miał wielkie, jasne, wesołe oczy w ciemnej oprawie, kształtny nos, zmysłowe usta i włosy starannie zaczesane, upudrowane i lekko ufryzowane po bokach. Ubierał się modnie i jeszcze wszystko traktował tak lekko, jak lekko poruszał się w tańcu. Ale choć pokpiwał nieraz ze skromności przyjaciela, choć śmiał się do łez z jego wyznań, że

lepiej być, sądzę, w miłości praktykiem
— niż teoretykiem,

to przecież cenił go bardzo jako świetnego poetę i kochał jako dobrego, cichego, łagodnego człowieka.

Teraz jednakże napadł na niego z irytacją:

— Nareszcie przydybałem waszmości. Jużem ochrypł od tego wołania. Madame Parisot kazała mi odnaleźć cię, Kniaźninku. Masz się stawić u księżnej pani razem ze mną i Lesselem. Pan Wincenty już pewnie na nas czeka.

Weszli boczną furtką na duży pałacowy czworoboczny dziedziniec z sadzawką i fontanną pośrodku, i skierowali kroki do wielkiej sieni o kamiennej posadzce i sklepieniu krzyżowym podtrzymywanym przez doryckie kolumny. Czekał tam już na nich Lessel — klawicymbalista, mały, brzuchaty człowieczek o krótkich nóżkach, które z trudem sięgały pedałów instrumentu. Był nauczycielem muzyki czworga dzieci księżnej Izabeli i nadwornym kompozytorem w Puławach. Napisał kilka pięknych polonezów, a teraz niósł pod pachą zwój nut — partyturę do ostatniej opery Kniaźnina „Matka Spartanka".

Madame Parisot, dame de compagnie księżnej Czartoryskiej, zwyczajem ówczesnym wprowadziła trójkę przyjaciół do jej sypialni. Księżna, w lekkim dezabilu, w czepeczku z koronek, muślinu i wstążek na ciemnych włosach, leżała na adamaszkowym łożu pod baldachimem. Łoże, jak i obicia, były izabelowego koloru. Ze ścian uśmiechały się portrety dzieci księżnej: Marii, Adama, Konstantego i malutkiej Zosi.

Księżna nie była sama. Książę Adam, generał ziem podolskich, pił właśnie kawę przy jej łożu. Mimo swoich pięćdziesięciu dwóch lat wyglądał młodo. Miał orli nos, wysokie czoło i upudrowaną fryzurę, od której pięknie odbijały czarne wyraziste oczy pod ciemnymi brwiami. Do spraw puławskich dawniej wtrącał się mało, ale od czasu, kiedy przed dwoma laty dwór księcia przeniósł się na stałe z Warszawy do Puław, zaczął wraz z żoną myśleć o tym, jak upiększyć tę starą rezydencję rodu Czartoryskich, jak dodać jej splendoru i świetności.

Księżna wraz ze starszą córką Marią zaprowadziła na swym dworze „wykwintne" zwyczaje. Każda dama czy panna miała tu swego cavalier servant, który otaczał ją stencją, podawał na majówkach lody, frukta i konfitury, nosił za nią szal i pierwszy zapraszał do tańca.

— To rozbudza galanterię i rycerskość — twierdziła księżna Izabela.

Księżna dbała o elegancję i zdobiła Puławy, książę zaś starał się o to, by rezydenci na jego dworze nie byli tylko stadem pasożytów, zwykłą zgrają pieczeniarzy wiszących u magnackiej klamki. Dobierał sobie ludzi spośród wybitniejszych profesorów i zdolniejszych uczniów Szkoły Rycerskiej, czy też wyróżniających się ex-jezuitów. Dbał o to, by jego młodzi sekretarze czy adiutanci, choćby Niemcewicz i Orłowski, Sroka i Sieheń nie tylko brali udział w fetach i pikniksach, ale uczyli się i rozwijali, korzystając z olbrzymiej biblioteki puławskiej i obcując z przybocznym sztabem księcia pana lub z nauczycielami młodych książąt Czartoryskich. Wśród ludzi, których zgromadził w Puławach, nie brakło w rzeczy samej znakomitych nazwisk. Dupont de Nemours, świetny znawca ekonomii i wojskowości, był nauczycielem Adama i Kostusia. Groddeck (późniejszy profesor Mickiewicza na Uniwersytecie Wileńskim) uczył chłopców greki; Simon L'hullier z Genewy wykładał matematykę; znakomity malarz Norblin uczył rysunków; Kniaźnin udzielał lekcji literatury. A że przy tym umiał wierszem uczcić swego dobroczyńcę i jego małżonkę, w czym mu sekundował Niemcewicz, cieszyli się więc obaj sympatią księstwa.

Książę przywitał wchodzących miłym uśmiechem i przyjaznym skinieniem głowy, dopił kawy i wyszedł, zostawiając żonie troskę o szczegóły zbliżającej się fety.

Księżna tymczasem spokojnie skończyła spożywać śniadanie, odstawiła tacę na stoliczek i sięgnęła po nuty, które pospiesznie podał jej Lessel. Przeglądała arię po arii, nucąc chwilami cichutko. Niemcewicz, żywy jak iskra, niecierpliwie czekał końca tej lektury. Wrażliwy na wdzięki niewieście, bezwiednie zauważył, że księżna, mimo już lat chyba czterdziestu, wciąż jeszcze wygląda młodo i ładnie. Wprawdzie twarz jej jest nieco zbyt podłużna i cera zeszpecona śladami ospy, ale oczy ma wielkie, wyraziste i profil delikatny. Wszystko to spostrzegł Julian teraz tak wyraźnie chyba dlatego, że dawno księżnej nie widział z bliska. Słyszał też o niej historie „scandaleuses", ale choć ostry miał język, nie pozwalał tu sobie na żadne przed nikim napomknienia. Były to zresztą czasy, kiedy nikogo nie gorszyły zdrady małżeńskie i romanse mężatek.

Wreszcie księżna odłożyła partyturę.

— Świetnie — pochwaliła. — Zarówno tekst, jak i muzyka znakomite. Patriotyzm tej sztuki jest głęboki i szczery. Powinien więc przemówić do słuchaczy i pokazać szlachcie, że w Puławach szczerze kocha się ojczyznę.

Kniaźnin i Lessel ukłonili się nisko, zadowoleni z pochwały.

— Teraz chciałabym omówić podział ról, gdyż czas już przystąpić do nauki śpiewania. Za miesiąc przyjdzie pewnie do reprezentacji opery przed szerszym gronem widzów — mówiła dalej księżna z takim zapałem, że aż uniosła się z poduszek ukazując obnażone piersi ukryte uprzednio wśród koronek. — Zdecydowałam, że sama zagram matkę Spartankę, to jest Teonę.

Kniaźnin złożył ręce jak do modlitwy.

— Honor najszczęśliwszy uczynisz, księżno, tej sztuce — powiedział z przejęciem. — Najszczęśliwszy i niezasłużony.

— Mój Kniaźninku! Zawsze jesteś skromny ponad miarę. Myślę jednak, że waćpan zrozumiesz moją intencję, kiedy się dowiesz, że role młodych Spartan zamierzam powierzyć moim synom. Starszy, książę Adam, zagra Likanora, a Kostuś — młodziutkiego Klitona.

Kniaźnin znowu ukłonił się nisko, a Lessel skinął głową na znak aprobaty.

— Sądzę, że inaczej słowa twoje brzmieć będą, inaczej odczują je słuchacze, gdy ja, matka, wypowiadać je będę do własnych synów. I dlatego proszę cię, panie Wincenty, abyś od jutra zaczął z chłopcami ćwiczyć ich arie. Co do pozostałej obsady, chciałabym poradzić się z panami.

Lessel, odchrząknąwszy, zaproponował, aby narzeczoną Likanora, Leucyppę, oraz córkę Teony, Telezyllę, grały dwie panny Narbuttówny, Konstancja i Aleksandra.

— Panna Aleksandra jest wprawdzie nieco ułomna, ale strój grecki tę wadę zatuszuje, a obie mają miłe głosy i są muzykalne — wyjaśnił.

Księżna chętnie przystała na tę propozycję. Zastanawiano się jeszcze, komu powierzyć rolę Heloty. Wreszcie Kniaźnin wymienił Jana Rembielińskiego, guwernera młodych książąt.

— Ma bardzo miły tenor — zapewniał.

— A waćpan, panie Julianie, sam będziesz chórzystą i pomożesz imć panu Lesselowi zebrać odpowiednie chóry ojców i matek, dziewcząt i chłopców, kapłanów i ludu — zwróciła się księżna do Niemcewicza.

Julian czuł się dotknięty. Przywykł jeszcze w Korpusie Kadetów, że grywał w wystawianych tam sztukach główne role, choćby nawet kobiece, a tu — chórzysta! Ale nie ośmielił się protestować. Okazało się zresztą, że księżna ma dla niego i inne zadanie. Zapytała przede wszystkim, czy zna czterowiersz Kniaźnina, którym ten — a z nim całe Puławy — dedykują „Matkę Spartankę" Szczęsnemu Potockiemu? Najlepiej będzie, jeżeli pan Franciszek sam powie mu ten wierszyk.

Kniaźnin, poczerwieniawszy po czubki swoich rudych włosów, wyrecytował cicho:

Z twojej to duszy autor „Spartanki"
Brał myśli, mężu jedyny!
Jemu za rymy dajemy wianki,
Tobie ojczyzna za czyny!

Julian wiedział, chociaż nie było go wówczas w kraju, o jakich „czynach" tu mowa. Przed dwoma laty, na sejmie 1784 roku, Szczęsny Potocki darował Rzeczpospolitej regiment pieszy z czterdziestu głów złożony i zobowiązał się umundurować go i utrzymywać z własnej szkatuły. Dał także dwadzieścia cztery armaty z końmi, ludźmi i lenungiem za rok z góry opłaconym. Na każdej z tych armat widniał napis: „Civis me patriae obtulit" — „Obywatel ofiarował mnie ojczyźnie". Zyskał sobie tym ogromną popularność wśród szlachty.

Księżna Izabela chciała, aby i Niemcewicz uczcił Szczęsnego swymi rymami. Niech pan na Tulczynie wie, jak go cenią w Puławach, niech na nadchodzącym sejmie popiera Czartoryskich w ich poczynaniach całym swoim autorytetem moralnym i politycznym.

— Waćpan, panie Julianie, jeżeli zechcesz, napiszesz wiersz równie dobry, jak wierszyk Kniaźninka.

Julian skłonił się nisko. Pochlebiły mu słowa księżnej pani, zwłaszcza że dotąd nie wyróżniała go wcale.

Nie przeczuwał wówczas, że opiewać ma człowieka, który w przyszłości stanie się obiektem jego największej nienawiści i najostrzejszych ataków.

Księżna ruchem ręki odprawiła całą trójkę.

— A więc do roboty, moi panowie — dodała jeszcze na pożegnanie. — W czerwcu czekamy na zjazd gości w Puławach.

•

Szeroką aleją, obsadzoną czterema rzędami lip zajeżdżały na obszerny dziedziniec książęcej rezydencji cztero- i sześciokonne karety, kocze, faetony, gigi, kolaski, kariolki. Przed pojazdami jechali masztalerze, hajducy, pajucy i drabanci. Przed pałacem stała szpalerem sotnia książęcych kozaków oraz marszałek dworu, Piotr Borzęcki, przystojny mężczyzna o nieco ospowatej twarzy, ubrany po polsku w żupan i kontusz. Mniej waż-

Koń to pieniądz

Dokończenie ze str. 1

nym kraju — zwielokrotnić je niepomiernie.

Nazajutrz właściwe święto: bóstwami konie i dolary. Rzecz odbywa się w udekorowanym flagami maneżu. Goście siedzą wygodnie, w otoczeniu kibiców — pracowników stadniny, na czołowym miejscu skupia się wewnętrznie pan Leon Rubin ze Stanów Zjednoczonych, wytrawny hodowca konia szlachetnego. Aukcją kieruje kilkuosobowa komisja, wśród której widać przedstawicieli Centrali Handlu Zagranicznego „Animex" i Zjednoczenia Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi. Spiker prowadzi rzecz po angielsku i niemiecku.

Masztalerze wprowadzają konie, nie wszystkim arabom odpowiada ta prezentacja, więc nieco podskakują. Spiker wymienia nazwę kolejnego araba, jego numer, imię ojca i matki, ogłasza szacunkową cenę. Wieliczkę proponuje się za 3,5 tys. dolarów, kto da więcej? Ktoś dał 4,1 tysiąca i kupił. Poszedł już Komis, przeszła Widawa, największe zainteresowanie wzbudza ogier Bahar, o którego goście walczą zażarcie, acz przy zachowaniu kodeksu towarzyskiego...

Co decyduje o wartości konia arabskiego? Uroda — siła i zdrowie to sprawy oczywiste. A piękny ogier powinien być zbudowany proporcjonalnie, zbyt długie nogi nie świadczą dobrze o koniu, powinien być suchy, o małej głowie, dużych oczach, krótkich, ostro stojących i lekko nachylonych do siebie uszach, profil jego pyska winien z lekka przypominać zarys paszczy szczupaka, nogi muszą być szczupłe, pęcina średnia, napiąstki czyli kolana szerokie. No i musi taki koń chodzić elegancko, z lekka tylko dotykając ziemi.

Aukcja trwa, ciekawsze momenty przyjmowane są oklaskami, w oczach gości obok zrozumiałej czujności pojawiają się błyski o charakterze raczej emocjonalnym. Kiedy bowiem za pośrednictwem naszych central handlu zagranicznego, wspomaganych przez „Hartwiga", arab przeleci Atlantyk docierając do stajni przeznaczenia, będzie się czym pochwalić przed sąsiadami czy innymi hodowcami. Samochód może kupić każdy i w każdej chwili, nie tak łatwo jednak wejść w posiadanie szlachetnego konia ze stadniny w Janowie. Poza tym można na rumaku zarobić, prezentując go na licznych pokazach, lub puszczając na wyścigi, albo dopuszczając do niego klacze. Koń to pieniądz, ale koń to także fascynacja.

Nie wierzcie, ludzie, własnym oczom i obiegowym opiniom: koń nie jest zwierzęciem pociągowym, domowym, protoplastą konia Przewalskiego i tarpana, nie jest też miejscem dla dżokeja. Koń to istota — kto wie, czy nie obdarzona duszą, na pewno zaś wrażliwe stworzenie z charakterem, o określonych sympatiach i niechęciach, łase na pieszczoty, które długo pamięta. Koń to świat, to prawa i zasady, normy moralne i sposoby bycia nigdzie poza końskim światem nie spotykane. Najlepiej wiedzą o tym ludzie stykający się z końmi od lat. Te kontakty wytwarzają przedziwną, końsko-ludzką rzeczywistość, która tylko w oczach zimnego racjonalisty może dźwięczeć groteskowym akcentem.

Więc w tym świecie nie ma np. miejsca na śmierć normalną, ze starości, zmęczenia, z choroby serca. Bo jak umarł Walery Turobiński, ujeżdżacz, a następnie koniuszy Stadniny Koni w Janowie Podlaskim, uczestnik powstania styczniowego, zesłaniec? „W roku 1920 w bardzo sędziwym wieku zmarł na posterunku wydając koniom owies w stajni pod zegarem".

Albo Aleksander Klimkiewicz, związany ze stadniną janowską od lat międzywojennych, której życie nie miało przed nim tajemnic. Podczas ewakuacyjnej tułaczki stadniny po Niemczech w latach 1944—1946 nie dosypiał, nie dojadał — aby tylko konie były w formie, przy obroku i wodzie, w bezpiecznym miejscu. Po wojnie został podkoniuszym, pełniąc zarazem funkcję sanitariusza weterynarii. „Umarł na posterunku w dniu 7 stycznia 1966 r." — odnotował wieloletni dyrektor Stadniny Koni w Janowie Podlaskim, mgr inż. Andrzej Krzyształowicz.

Klan koniarzy obejmuje niemal cały świat. Kilka lat temu w Santa Barbara w Kalifornii zmarł niejaki Carl Raswan, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Schmidt. Długo przebywał na Bliskim Wschodzie, wszedł w pokrewieństwo z szejkiem Beduinów, brał udział w walkach plemiennych. W jednej z nich padł jego koń Raswan, więc zrozpaczony Schmidt zarzucił swoje rodowe nazwisko i zaczął się podpisywać imieniem rumaka — ku pamięci...

— Z koniem, jak z Polakiem trzeba postępować, czyli łagodnie — filozoficznie stwierdza Jan Rudasz, podkoniuszy janowskiej stadniny. — A konia szlachetnego nie wolno oddać w niepowołane ręce, kiedyś sprzedawało się każdemu, kto chciał, i nic dobrego z tego nie wyszło. Jedna klacz nie chciała chodzić w zaprzęgu, wiadomo, zwierzę szlachetne, wymagające cierpliwości, to jej chłop drut kolczasty jako wędzidło założył, kat. W nocy uciekła ze stajni i wróciła do stadniny.

Już ponad 44 lata pracuje Jan Rudasz w stadninie, kontynuując tradycje rodzinne. Ojciec tu pracował i dwaj stryjowie, a był to moment niebagatelny, bo dostać się w latach międzywojennych do roboty przy janowskich ogierach i klaczach nie było łatwo.

— Potrzebna była protekcja. A dziś... dziś młodzi uciekają z Janowa, rzadko kto chce pracować przy koniach, mogą się uczyć, to i co im po stajniach! Ale kto choć kilka lat u nas przetrwa, nie odejdzie, zdecydowana większość załogi posiada staż pracy powyżej piętnastu lat.

Po ukończeniu szkoły podstawowej trafił do stajni wyścigowej, opiekując się między innymi klaczą Idylią, następnie ogierem czołowym Hardym i ogierem pełnej krwi Villarsem. Poznał tory wyścigowe Lwowa i Piotrkowa, bywał na torze w Lublinie.

— Przed wojną i u nas, w Janowie, był tor treningowy, o tu — wskazuje miejsce wśród drzew, blisko rozległego pastwiska, na którym pasie się kilkadziesiąt klaczy i źrebiąt — stała mała trybuna, a tu był celownik. Nie było nagród, goście zakładali się o pół litra. Te próbne wyścigi odbywały się w środy i soboty, czasami w niedziele.

Juliusz Kossak nie malował koni janowskich, zajęty uwiecznianiem arabów ze stadniny Juliusza Dzieduszyckiego w Jarczowcach; te niewielkiego wzrostu, suche, o mocnej konstytucji zwierzęta dotarły do Polski z pustynnej Wyżyny Nedżedu przy końcu XVIII lub na początku XIX w. Ale pierwsze miejsce w dziejach hodowli arabów w naszym kraju zajmuje niewątpliwie Janów Podlaski, którego stadnina liczy już 155 lat.

Początki stadniny miały podłoże polityczne i ekonomiczne. Zmierzając do odbudowy polskiej hodowli po niszczących wojnach napoleońskich, Rada Administracyjna Królestwa Polskiego wystąpiła z wnioskiem do cara Aleksandra I o ustanowienie stadniny państwowej i stada ogierów. Aleksander I chcąc pozyskać sobie Polaków podpisał odpowiedni dekret 6 października 1816 r. i już rok później Jan Ritz, koniuszy stadnin Rzewuskich na Podolu, przyprowadził do Janowa 54 ogiery, 100 klaczy i 33 sztuki młodzieży. Pierwszym dyrektorem stadniny mianowano Wielkiego Koniuszego Koronnego z Wilanowa, Aleksandra Potockiego, który urzędował w Pałacu Mostowskich w Warszawie; kierownikiem stadniny i stada ogierów został J. Ritz, przebywający stale w Janowie.

Kamena str. 6

Puławach

Gabriela Pauszer-Klonowska

nych gości marszałek zapraszał do sieni pałacowej, z której krętymi wewnętrznymi schodkami szło się do pokojów gościnnych i mieszkań oficjalistów. Ważniejsze osobistości wchodziły wprost na górę pięknymi zewnętrznymi ciosowymi schodami, ciągnącymi się wzdłuż bocznych narożnych wież i ściany frontowej pałacu. Schody te tworzyły na wysokości pierwszego piętra duży balkon, w którego drzwiach księstwo witali znakomitszych gości.

Najwcześniej zjechała się rodzina. Pierwszy przybył marszałek litewski, hrabia Ignacy Potocki, mieszkający w niedalekim Kurowie. Ożeniony z siostrzenicą księcia Czartoryskiego, Elżbietą z Lubomirskich, owdowiał przed trzema laty. Śmierć żony była dla niego ciosem, ale zachował swój zwykły, pogodny, choć nieco sztywny sposób bycia. Nazywano go „pięknym Potockim". Książę Adam, starszy o lat szesnaście, pamiętał go z czasów, kiedy Ignacy był uczniem konwiktu Konarskiego. Rodzice, niezbyt majętni, pragnęli, aby najstarszy z ich pięciu synów został duchownym i wysłali go do Rzymu. Studiował tam teologię oraz prawo i spacerował po Wiecznym Mieście w stroju abbata. Ale wrócił do kraju w modnym fraku francuskiego modnisia i zajął się tu nie teologią, lecz polityką.

Sekundował mu w tym dzielnie młodszy brat, Stanisław Kostka, również ożeniony z córką księżnej Lubomirskiej, siostry księcia Czartoryskiego i równie jak brat, hojnie wyposażony przez naturę. Obaj Potoccy posiadali wybitny dar wymowy i rozległe wykształcenie, obaj byli ambitni, utalentowani, pracowici i obaj pragnęli służyć krajowi.

Trzecia, najpiękniejsza spośród siostrzenic księcia Czartoryskiego, Julia, wyszła za mąż za Jana Potockiego, ale już nie „Pilawitę" (tak nazywano rodzinę Potockich herbu Piława). Jej mąż był brzydki, nieco garbaty, nosił się po polsku i słynął jako wielki oryginał, podróżnik i pisarz. (Był, między innymi, autorem znanego dzisiaj i filmowanego „Rękopisu znalezionego w Saragossie").

W ślad za Potockim zjawił się hetman polny Seweryn Rzewuski, żonaty z Konstancją, czwartą córką księżnej Lubomirskiej. Wraz z nim przybył hetman koronny Franciszek Ksawery Branicki, o którym wiedziano powszechnie, że romansował z księżną Izabelą. Księżna bała się nieco jego brutalności i buty, był bowiem równie gwałtowny w miłości, jak nieubłagany w nienawiści, i preferowała innego swego wielbiciela, pisarza polnego, Kazimierza Rzewuskiego, który słynął w Warszawie z urody i pojedynków, w Puławach zaś — z dowcipu i dobrych manier.

Znakomitych gości rozlokowano w pałacu. Szlachta, która licznie ściągnęła do Puław, obozowała w miasteczku, pijąc i jedząc na koszt księcia generała.

Książę, choć wiele dobrego czynił okolicznej szlachcie, chociaż znał jej koligacje i pamiętał każdego z imienia i nazwiska, chociaż całował chylące mu się do nóg podgolone głowy, wiedział przecież, że szara brać szlachecka nie wielbi go tak, jak na przykład księcia Radziwiłła — Panie Kochanku, czy choćby tego zabijakę Branickiego.

„Dzisiaj ceni się więcej tęgich pijaków i odważnych rębajłów, niż ludzi takich jak ja" — myślał z niesmakiem. Nie pił, nie pojedynkował się, nawet nie polował, twierdząc, że „na niedźwiedzia z łóżkiem, na dzika z trumną iść trzeba". Lubił towarzystwo ludzi wykształconych i dobrą książkę przenosił nad dobre wino, a to nie mogło mu zyskać uznania i sympatii wśród mas szlacheckich.

Z wystawieniem „Matki Spartanki" czekano na Szczęsnego Potockiego i Kazimierza Nestora Sapiehę. A tymczasem bawiono się wesoło.

W stajniach puławskich stało kilkanaście wierzchowców i sto osiemdziesiąt koni cugowych. Nie brakło też masztalerzy, woźniców, forysiów. Toteż każdy ze znaczniejszych gości otrzymał do swej dyspozycji wierzchowca lub pojazd oraz pachołka do osobistych posług. Młodzież mogła jeździć gdzie i jak chciała. Jedynie o konie krwi arabskiej, których stado było chlubą puławskiej stajni, trzeba było prosić Turczyna, pod którego opieką znajdowały się te piękne rumaki.

Śniadanie podawano o godzinie jedenastej w jadalni na pierwszym piętrze, w dużej sali zwanej kamienną.

Dwunastu hajduków ubranych po węgiersku w zielone kurtki przybrane czerwoną pasmanterią roznosiło potrawy, lokaje w zielonych frakach z pąsowymi kołnierzami nakładali na talerze, rozlewali wino do kielichów.

Pracowite to były dni dla całej puławskiej służby. Marszałek dworu Borzęcki pilnował porządku i sprawował rządy nad całą liberią. Czuwał też nad tym, żeby nikomu z gości nie zbrakło niczego. Podczaszy dozorował piwnic, wydzielał wina i piwa dla pałacowych gości i braci szlachty. Kuchmistrz Görlitz i jego czterech pomocników: Francuz — pasztetnik, Włoch — cukiernik i dwóch Polaków, z których jeden był specjalistą od drobiu i dziczyzny, drugi — od mięsiwa, uwijało się w kuchni.

Wznoszono liczne toasty. „Salus publica!" — wołali jedni, wznosząc kielichy w górę. Inni odpowiadali: „Prosperitas publica!", a jeszcze inni przepijali do księcia Adama wołając co sił w gardłach: „W ręce jaśnie wielmożnego pana generała ziem podolskich!". Potem, kiedy już porządnie kurzyło się z podgolonych głów, ktoś wstał i wygłosił taki toast:

Najlepiej z Ogińskim jadać,
Z Rzewuskim gadać,
Z Radziwiłłem pić,
Z Czartoryskim żyć!

Jednakże pierwszego dnia czujne oko księżnej dostrzegło, że przy stołach, wokół których posadzono brać szlachecką, nie wszyscy ochoczo podejmują toasty na cześć księcia Adama. Poprosiła więc Kazimierza Rzewuskiego, na którego życzliwość i dyskrecję liczyć mogła bez zastrzeżeń, aby wybadał, o co tu idzie.

Po godzinie zgłosił się z wyjaśnieniem:

— Szlachta kontuszowa krzywi się, że książę wdział obcy mundur. Książę generał powinien się przebrać do obiadu.

Książę Adam rzeczywiście wystąpił w pudrowanej peruce, w butach z ostrogami i w mundurze swojego austriackiego regimentu z orderem Orła Białego na piersi.

Księżna żachnęła się: wystarczy chyba, że obu swych synów wystroiła dzisiaj w barwne kontusze? Musiała jednak powtórzyć księciu słowa przyjaciela, gdyż do obiadu wyszedł już w polskim stroju, choć go nie lubił, uważał za ciężki i niewygodny.

Obiad również był obfity. Podano barszcz i potage à la julienne (zupę jarzynową), drób, dziczyznę i różne mięsiwa, wina, lody i owoce, z których największym powodzeniem cieszyły się pêches à l'eau de vie, to jest sprowadzone z zagranicy brzoskwinie moczone w wódce.

Wszystko było wyborne i nawet książę, chociaż nieraz gderał żartobliwie, że „w Puławach masło jest zawsze stare, a wino młode" — pochwalił tym razem Görlitza i Borzęckiego.

W Puławach nikt nie sięgał chciwie do półmisków, nie wyłapywał najlepszych kąsków, jak to bywało na innych magnackich dworach.

— Zaraz widać, że tu wszyscy dostają jeść dostatnio i uczciwie — powiedział z aprobatą jeden ze szlachty do przechodzącego właśnie Niemcewicza. — Jadałem ja z niejednego stołu i wiem, jak to bywa — dla nas, szaraczków, zostają zwykle same ochłapy.

Julian spieszył po szal dla damy, której był dzisiaj „cavalier servant", nie miał więc czasu na rozmowy. Przytaknął jednak skwapliwie, chociaż jako domownik wiedział dobrze, że i w Puławach kucharz tak układa mięso na półmiskach, że na wierzchu jest drób i dziczyzna, a pod spodem pieczeń wołowa i wieprzowa, która dostawała się właśnie szaraczkom.

Po obiedzie młodzież zabawiała się urządzaniem żywych obrazów, w których układaniu pomagali Kniaźnin i Norblin. Pierwszy podsuwał pomysły, drugi realizował je tak, aby były barwne i plastyczne. Pokazywano więc w takich tableaux z żywych osób zrobionych cały olimp grecki i poszczególne sceny z mitologii antycznej. W parku pod drzewami rozmieszczano dzieci poprzebierane za amorków. Damy w powiewnych strojach bogiń greckich płynęły w umajonych łodziach po Wiśle, a panowie jako trytoni ścigali te łodzie, rzucając się wpław w powolne u brzegów nurty rzeki.

Gdy już mrok zapadł i w pałacu w kryształowych pająkach zapalono rzęsiste światła, młodzież zebrana w białym salonie zabawiała się wesoło. Julian, przebrawszy się po rzecznej kąpieli w żółty frak, kwiecistą kamizelkę i białe spodnie, z zapałem bawił się w ciuciubabkę. Z zawiązanymi oczami stał pośrodku salonu i rozpostarłszy szeroko ramiona, niczym orzeł skrzydła, rzucał się przed siebie, żeby ułapić ofiarę. Nie widząc nic, słyszał tylko piski i krzyki. Pędził i z rozbiegu chwytał krzesło, które z łoskotem padało na ziemię; skręcał w lewo i słyszał przerażony krzyk: „Okno! Okno!"; zawracał więc gwałtownie i ślizgając się po posadzce chwytał wreszcie jakiś powiewny muślinek. Teraz szybko ściągał opaskę z oczu i wśród ogólnego śmiechu zabierał fant od osoby schwytanej.

Późnym wieczorem rozpoczynał się bal. I tu, jak w Warszawie, bogate kontusze i błyszczące pasy słuckie mieszały się z aksamitnymi barwnymi frakami, strojnymi w żaboty i mankiety z koronek. Zaczynano od poloneza. W pierwszej parze szła księżna Izabela z Ksawerym Branickim, za nią książę Adam z siostrzenicą swą, Sewerynową Rzewuską. Dalej już jak kto chciał. Potem tańczono menueta i angleza, wreszcie kadryla. Julian był niezmordowany. Obtańcowywał wszystkie ładniejsze panny i damy. Przetańczył już angleza z panią Stanisławową Potocką i menueta z piękną jej siostrą Julią, które teraz, odpoczywając i chłodząc się wachlarzami, rozmawiały o nim z księżną Izabelą.

— Niemcewicz powrócił ze swej dwuletniej podróży zupełnie odmieniony — zauważyła pani Stanisławowa. — To już nie skromny podczaszyc, lecz europejski kawaler. Prawda?

Julia potwierdziła:

— Mógłby śmiało pokazywać się w towarzystwach Rzymu, Londynu, Paryża. A jaki zgrabny, wesoły, żywy! Trzeba go ożenić — zakończyła.

Gotycki domek w Nowej Aleksandrii (Puławy)

Fot. Z. Zogaj

— Nie ma szczęścia chłopak — westchnęła pani Stanisławowa, która, jak i jej małżonek, nie od dzisiaj darzyła sympatią młodego adiutanta księcia. — Mój mąż mi mówił, że twoja ulubienica, Konstancja Narbuttówna, dała mu kosza — zwróciła się do siedzącej obok księżnej Izabeli.

— Ach, to nie ona. To jej ojciec — zaprzeczyła żywo księżna. — Pan podkomorzy lidzki.

Pan podkomorzy lidzki nie chciał Juliana za zięcia. Odmówił mu, że niby za młody. A kiedy sam książę generał, choć nie lubił wtrącać się do takich spraw, ujął się za swym pupilem, pan podkomorzy oświadczył:

— Dobrze pisze, to prawda, mości książę. Ale młody jeszcze. Komuż wiadomo, co z niego będzie? Jeno Bogu. A ja prorokiem nie jestem. Któż przewidzieć zdoła, czy z niego wyrośnie prosty dąb czy krzywy a kolący głóg? Żywy jest jak ogień. Może będzie złośnik?

Teraz Konstancję zaręczono z rotmistrzem Dębowskim i nawet dzień ślubu wyznaczono. Nie było więc o czym mówić.

Księżna Izabela również pochwaliła Juliana.

— Przywiózł mi w darze zbiór portretów sławnych Polaków z bardzo miłą rymowaną dedykacją.

Chciała powtórzyć choćby strofkę z tego wiersza, ale nie potrafiła. Na szczęście Julian był niedaleko, więc przywołała go skinieniem ręki.

— Przypomnij nam, panie Julianie, coś napisał przy ofiarowaniu mi portretów — poprosiła.

Julian chętnie zabłysnąłby przed damami całym wierszem, ale pamiętał tylko ostatnią strofkę:

Tobie, księżno — wyrecytował — rycerzów wziętych już wśród bogi
Składam, gorliwej Polce, zbiór zapewnie drogi.
W czyimże przyzwoiciej powinien być ręku,
Jako pod strażą cnoty, przymiotów i wdzięku.

Obie panie Potockie pochwaliły czterowiersz, choć zapewne nie były tu szczere (któraż kobieta lubi, gdy się przy niej opiewa przymioty i wdzięki innej?). W tej chwili zagrała orkiestra i tancerze porwali wszystkie trzy damy do kadryla, więc Julian został sam.

Fragment opowieści o Julianie Ursynie Niemcewiczu pt. „Polska — jego miłość", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

W następnych latach A. Potocki wyjeżdżał trzykrotnie do Anglii, gdzie w sumie zakupił 16 ogierów oraz 8 klaczy pełnej i półkrwi angielskiej. Jak stwierdza znawca przedmiotu, *największą zasługą A. Potockiego było należyte i nowoczesne zorganizowanie pierwszych w Polsce państwowych zakładów chowu koni oraz stworzenie w Janowie swoistego i bardzo cenionego typu konia janowskiego.* Po powstaniu listopadowym hrabia wycofał się z życia publicznego, opuszczając stanowisko dyrektora stadniny. Do tego momentu ogiery janowskie pokryły na stacjach niemal 27 tys. klaczy.

W 1841 r. wzniesiono na Wygodzie, gdzie mieściła się stadnina, stajnię murowaną dla tzw. ogierów celnych, dziś zwanych czołowymi, które służą do utrzymania szlachetnego potomstwa. Siedem lat później zbudowano kolejną stajnię murowaną „na 40 ogierów prowincjonalnych", czyli obsługujących klacze dworskie. Być może obie te budowle wzniósł słynny architekt warszawski pochodzenia włoskiego, Henryk Marconi, autor Pałacu Paca, Hotelu Europejskiego, kościoła w Wilanowie. Obie zresztą pełnią do dziś swoją pierwotną funkcję, choć ich układ przestrzenny nie spełnia wszystkich wymagań współczesnej hodowli.

Podczas I wojny światowej i w dwu latach następnych, kiedy to stadninę i stado ewakuowano do guberni charkowskiej, konie janowskie niemal całkowicie wyginęły — poza klaczą Koalicją, która dostawszy się do stajni prywatnego hodowcy, stała się założycielką świetnej rodziny żeńskiej.

W okresie międzywojennym, zaczynając właściwie od zera, Janów osiągnął wyjątkowo wysoki poziom, przede wszystkim dzięki działalności Stanisława Pohoskiego. Stadnina prowadziła własną stajnię wyścigową, złożoną z koni czystej krwi arabskiej, poważnie wpłynęła na podniesienie hodowli masowej, ogiery janowskie rozsławione były w całym kraju — *żadne inne stado nie mogło się z nią równać.* Był okres, w którym janowskie stado ogierów obsługiwało ogromny teren złożony z województw lubelskiego, wołyńskiego, poleskiego, białostockiego, nowogródzkiego, wileńskiego i częściowo warszawskiego. Od 1924 roku stadnina zaczęła się specjalizować wyłącznie w hodowli koni czystej krwi arabskiej, półkrwi arabskiej i angloarabskiej, co pozostało aktualne do dziś.

W ciągu 130 pierwszych lat istnienia stadnina janowska była pięciokrotnie ewakuowana. W 1831 r. J. Dulewski i F. Eberhard tułali się z końmi w okolicach Miechowa i Kalisza; w 1914 r. stadninę wyprowadzono w głąb Rosji; w 1920 r. przerzucono na zachód Polski; w 1939 r. ewakuowano na Wołyń, a następnie poprowadzono do radzieckiego Tierska; w 1944 r. przewieziono koleją do Saksonii...

11 września 1939 roku na czele stadniny stanęli Stanisław Pohoski i Andrzej Krzyształowicz, kierując się na wschód. Ten ostatni trafił do Janowa zaledwie dwa lata wcześniej, jako student Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego — z zamiarem zebrania materiału do pracy dyplomowej z hodowli koni; o wyborze stadniny zadecydował ojciec Krzyształowicza, popierany przez prof. Vetulaniego, kierownika Katedry Hodowli Szczegółowej Zwierząt Wydziału. Po trzy- i półmiesięcznym pobycie w Janowie, poświęconym na zebranie materiałów do monografii, Krzyształowicz doszedł do przekonania, że w tej miejscowości można i warto pracować i żyć. W grudniu następnego roku rozpoczął pracę na stanowisku zastępcy kierownika stadniny, zaopatrzony w dyplom inżyniera rolnika. Najpiękniejszym koniem był wtedy w Janowie ogier czystej krwi arabskiej Ofir, urodzony w 1933 r. z oryginalnego araba Kuhailan Haifi i klaczy Dziwa. Kuhailan, sprowadzony z Arabii przez Bogdana Ziętarskiego na zlecenie ks. Romana Sanguszki, był ostatnim, jak dotąd, ogierem importowanym do Polski z tego rejonu świata. Dyrektor Krzyształowicz stwierdza, że *Ofir był najlepszym ogierem arabskim wychowanym w Polsce w okresie międzywojennym.*

Po zajęciu Janowa Niemcy dość szybko uporządkowali stadninę, posługując się polską załogą. W 1944 r. nastąpiła kolejna ewakuacja stadniny, tym razem do remontowego zakładu wojska niemieckiego w Sohland w Saksonii. Razem z końmi wywieziono 55 pracowników. Po przekroczeniu Odry przez Armię Radziecką ogiery i klacze, zbliżające się do okresu wyźrebień, skierowano do Drezna, do pomocy polskim masztalerzom dodano jeńców radzieckich, włoskich, francuskich, holenderskich, węgierskich, a nawet własowców — nikt z tej eskorty, poza Polakami, nie miał pojęcia o obchodzeniu się z końmi, nikogo nie interesował los stadniny. Na domiar wszystkiego do Drezna wkroczono w nocy z 13 na 14 lutego 1945 r., podczas nalotu dywanowego aliantów na miasto. Zginęło 21 ogierów, lecz wszystkie czołowe uratowały się, zachowując niezwykły spokój. Słynnego Witraża i Wielkiego Szlema prowadził wówczas Jan Ziniewicz, wkrótce komendant stajni czołowej podczas pobytu w Niemczech. Po różnych perypetiach większość koni ulokowano w folwarku Nettelau, na południe od Kilonii.

— Do kraju wracaliśmy dwoma statkami — wspomina Jan Rudasz — które po trudach udało się przystosować do przewozu koni. Jeden nazywał się „Helgoland", drugi „Eskania". Podróż koleją z Gdyni do Białej trwała kilka tygodni, ale koń wszystko wytrzyma, byle miał wodę i siano; owsem karmić nie można w podróży, bo kolka chwyta.

Dziś Stadnina Koni Janów Podlaski jest bodaj najpoważniejszą hodowlą czystej krwi arabskiej w świecie, o rozgłosie i znaczeniu niepomiernie przewyższającym nawet okres przedwojenny, który zapisał się przecież dobrze w dziejach przedsiębiorstwa. Dopiero bowiem po wojnie można mówić o faktycznie szerokim, znaczącym ekonomicznie eksporcie koni janowskich za granicę. Podczas niedawnej aukcji (w czerwcu) do Janowa zjechało 50 kupców z 12 państw — m. in. z USA, Anglii, NRF, Belgii, Francji, Holandii, Australii — którzy kupili 17 koni za sumę 112 tys. dolarów: ogier Bahar „poszedł" za 17 tys. dolarów, pozostałe konie przyniosły od 3200 do 11.500 dolarów. Jak dotąd, najwyższą kwotę uzyskano za Buszmena — 50 tys. dolarów. Jest to zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę choćby taki fakt, że trzy czwarte klaczy czystej krwi arabskiej pochodzi w prostej linii od sprowadzonych z Arabii do Jezupola w 1845 r. klaczy Gazella, Mlecha i Sahara. Dobrą też reklamę janowskiej hodowli zrobił w USA ogier arabski Witeź II, uznany za najlepszego konia arabskiego w Stanach Zjednoczonych, zdobywca Wieczystego Trofeum Kelloga, ojciec świetnych championów. Jak podaje Stanisław Detkens *z ogólnej liczby 1612 źrebiąt, jakie zapisano do ksiąg stadnych w latach 1949—1958, aż 1266 sztuk, tj. 78,5 proc. pochodziło po reproduktorach z krwią polską.*

Stadnina Koni Janów Podlaski zajmuje obszar 1600 ha, opierający się na czternastokilometrowym odcinku Bugu. Załoga liczy 170 stałych pracowników, stadnina i stado ogierów — 400 koni. Wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa, które poza tym posiada bardzo rozwiniętą hodowlę bydła zarodowego i trzody chlewnej, zależą od wielkości eksportu: pomyślne transakcje gwarantują roczny zysk w wysokości 3—5 mln zł rocznie, gorsze — 1 mln zł. Ogiery i klacze czystej krwi arabskiej sprzedaje się tylko do strefy dolarowej, a 10 proc. od wysokości uzyskanej ceny przeznacza się na premię eksportową dla załogi. Stadnina dysponuje 14 ogierami czołowymi, wśród których znajduje się siwy Bandos, którego — jak twierdzą znawcy — można by sprzedać i za 250 tys. dolarów, ale szkoda tak urodziwego reproduktora, syna Negatiwa i Bandoli (po Witrażu), którego brat Banzaj osiągnął cenę 25 tys. dolarów. Prawdopodobnie na Zachodzie zostanie sprzedany za jeszcze wyższą kwotę przez obecnego właściciela, tak, jak to było z ogierem Naborem, który „poszedł" za 16 tysięcy, a w USA — dzięki tajemniczym zabiegom reklamowym — osiągnął 150 tysięcy dolarów i mieszka w stajni wykładanej mahoniem, obserwowany dzień i noc przez trenera i właściciela za pośrednictwem kamer telewizyjnych, ukrytych w ścianach i podłączonych do monitorów w mieszkaniu owych panów.

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 7

Fot. Zb. Jaśkiewicz — CAF

Kazimierzowskie burczybasy

Janusz Ciechociński

FINAŁOWY koncert dorocznego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu miał poprowadzić Wojciech Siemion, lecz nie doszło aż do takiego uświetnienia głośnej i barwnej imprezy, albowiem ten uniwersalny pracownik sceny, estrady i radia musiał siódmego dnia tygodnia zjawić się w Płocku. Miasto to, poza naftą, zaznacza swoją obecność w Polsce kolosalnym pomnikiem Broniewskiego i wielką imprezą folklorystyczną, która bez Siemiona, rzecz jasna, obyć się nie może. A artysta, choćby najbardziej demokratyczny i życzliwy ludziom, nie jest w stanie podzielić się na części, a nawet gdyby mógł, to i tak zawsze byłyby problemy, która część ważniejsza, którą pchnąć na Kazimierz, którą na Płock, gdzie na dodatek odnaleziono ostatnio prochy Bolesława Krzywoustego, choć nie jest to jeszcze takie pewne. Nie wymagajmy więc za dużo, niech nam wystarczy sobotnia obecność pana Wojciecha na estradzie Małego Rynku, obecność zresztą znakomita, z powodzeniem konkurująca z występami Józefy Pidek z Bychawki, czy muzyczno-wokalnym ensamblem braci Bździóchów, zasilonym mocną w głosie solistką.

Festiwal w Kazimierzu ma dobrą tradycję. Niektórzy znawcy przedmiotu twierdzą, że jest jednym z ostatnich miejsc, gdzie można zetknąć się z folklorem w miarę czystym. Od dawna przecież wiadomo, że czystość nie idzie w parze z zamożnością, o czym przekonuje baśń o Kopciuszku, której wymowa byłaby ostrzejsza dydaktycznie, gdyby opowiadać ją dzieciom do końca, czyli do momentu, kiedy to niewinne dziewczę — już żona księcia — okazuje się być przebiegłą babą, chytrą na pieniądze. Może więc dobrze, że festiwal kazimierski chędogi i niewinny? Ecie, plecie, a tymczasem Płock dysponuje maziidłem do wysokich połysków, na przykład transmisją telewizyjną...

Twórca ludowy kojarzył nam się do niedawna z postacią wielostronnie naiwną, co to sieje i orze, a czasami tylko brzdąka pod eternitem, kiedy ranne wstają zorze, albo zmierzchem. Owszem, są jeszcze tacy, lecz klasyczny typ współczesnego twórcy ludowego cechuje znakomita orientacja w zakresie polityki kulturalnej i etnografii. Więc niejedna kapela zaczyna swój występ od ukłonu pod adresem jurorów i gospodarzy imprezy, niejeden solista tylko przez fatalne zapomnienie błyszczy zegarkiem na ręce, wszyscy natomiast cenią sobie wielce grę na kozie, burczybasie, bazunie czy listku — przed kamerami telewizji. Cała Polska zobaczy, a w rodzinnej wsi ze trzech przynajmniej sąsiadów krew zaleje ze złości!

Właściwie to ludzka sprawa i normalny ciąg dalszy hossy na ludowość, która obok tych nieco groteskowych momentów przyniosła przecież zmianę stosunku wsi do własnej twórczości. Jeszcze kilka lat temu wieś pogardzała folklorem, wyśmiewała się z rzeźbiarzy i malarzy wiejskich, głęboko upychała w kufrach stary, wzorzysty przyodziewek. Dziś te znaki i treści kulturowe darzy się szacunkiem, a udział w zespole tańca ludowego, w kapeli — jest celem godnym zabiegów, wyróżnieniem. Twórca ludowy uzyskał samoświadomość artystyczną, wyczuł tę szansę wyrwania się z animowości, jaką daje sztuka. I zaczął się cenić: organizatorzy przeróżnych festiwali stosują przeróżne chwyty, aby zapewnić sobie uczestnictwo jakiegoś głośniejszego zespołu czy solisty — a to samochodzik pod dom się podstawia, wygodniejszy od autobusu, a to od tej, lub od tamtej strony podchodzi się delikwenta. Niektórzy z nich mają dość tej zabawy, lecz z reguły są to ludzie starsi, po prostu zmęczeni.

Hossa na ludowość trwa, według wiarygodnych obliczeń pewnego pseudcysty, mocno związanego ze sprawami wsi i jej kulturą, tylko w czerwcu odbyło się ponad trzydzieści festiwali i festiwalątek folklorystycznych, maluczko, a każdy powiat będzie miał własny, jeśli już do tego nie doszło. Nic złego — twierdzi dyrektor średniej szkoły muzycznej w Lublinie — w Polsce jest tyle zespołów ludowych, że starczy ich na dwa jeszcze festiwale. Nie ma więc co marudzić, proponuję przekształcić wiejskie kluby kultury w punkty festiwalowe, co tylko w skali województwa przyniesie ok. 400 festiwali. Kluby ledwo dyszą, a poza tym nikt już nie wie na pewno, co to takiego ten autentyczny folklor. Wystarczą: środki, reklama i nazwa...

W Kazimierzu było wszystko: planowane i spontaniczne, aranżowane na ulicach, koncerty kapel i solistów, podróż twórców statkiem do Puław, gdzie kolejny koncert, wieczór gawęd ludowych (o złej godzinie), targi sztuki, biegły Kmita, utrudzone władze miasta, współorganizatorzy z Wydziału Kultury PWRN, prezes ZPAP w swetrze, sporo słońca, jeszcze więcej deszczu i jędrnej golizny, sprawnie działające w MDK biuro festiwalu, dyrektor Jerzy Cywoniuk w otoczeniu sfeminizowanego sztabu z WDK, który niemal cały wielgachny ciężar imprezy nosił na swoich niezbyt w końcu krzepkich barkach... No i była konferencja prasowa, której przebieg warto krótko zrelacjonować.

— Folklor jest zjawiskiem ginącym, jak więc przedstawia się sprawa jego notacji? — prowokacyjnie zapytał red. A. Wróblewski z „Życia Warszawy", członek jury, muzykolog.

— My notujemy — odparł radiowiec z Katowic. — Lublin też (Święta prawda, red. Barbara J. nagrywała, hej nagrywała!).

— Już dawno miały być wydane płytowe albumy z nagraniami autentyków, ale nie ma. Tylko „Mazowsze" i „Śląsk", krugom. Tymczasem „Mały Władzio" litrami zalewa Polskę z Ameryki „folklorem", co to zamiatała Zosia...

— Czy przypadkowo festiwale nie są próbą galwanizacji, hm, okazją do organizowania ad hoc zespołów, które ze „skansenu" wyciągają melodie „na okoliczność" — ponownie natarł red. Wróblewski.

— Zdunkowa siedzi i śpiewa, a Trzmiel śpiewa i stoi — ktoś zauważył. — Ktoś powinien ustawiać mikrofon, lecz ani tu, ani w Płocku nikt tego nie robi i zamiast słów słychać grzmoty.

— Na zachodzie Europy folklor zginął, u nas nie, jeszcze nie...

— Trudno powiedzieć w tej chwili coś zdecydowanego o roli festiwali — odparł prof. dr Józef Burszta, przewodniczący jury. — Nie ulega jednak wątpliwości, że dzięki festiwalom następuje zatrzymanie rozkładu kultury ludowej, a nawet jej renesans.

— Jok ma śpiwać o pasaniu gęsi dzieciak, jak on dziś gęsi nie pasie? — z pewnym zniecierpliwieniem odezwała się Wanda Czubernatowa, poetka, najciekawsza góralka w Europie i najbardziej europejska uczestniczka festiwalu, prowadząca wraz z Andrzejem Śleziakiem, kiedyś tancerzem góralskim, obecnie studentem wyższej szkoły teatralnej, konferansjerskę podczas dwóch dni imprezy. Po czym opowiedziała anegdotę na temat kryteriów autentyzmu w sztuce ludowej, co wniosło sporo nowego do polskich dyskusji o folklorze, które szybują na najwyższych szczytach scholastyki. Śmiech był ogromny, zagłuszył zakamuflowaną nieco deklarację pani Wandy, opartą na przeświadczeniu, że albo się jest twórcą w ogóle, bez żadnych przymiotników w rodzaju „ludowy", albo się nie jest.

Jury przesłuchało 27 kapel, 32 solistów śpiewających i 8 grających na różnych, egzotycznych dziś instrumentach: cymbałach, kozie, słomeoku, burkosach, rzemycku, burczybasie, listku, gęślach, dzwonkach. Przyznało mnóstwo nagród i wyróżnień: w grupie kapel regionalnych uhonorowano „Stefany" z nowotarskiej Leśnicy, zespoły ze wsi Siedleczki w woj. rzeszowskim i z Wysokiej w pow. szydłowieckim; w grupie kapel stylizowanych — kapelę z Łowicza (dużą), zakopiańską im. Sabały i kaszubskie „Bazuny" z Leźna. Władysław Stefaniak z Leśnicy, Anna Malec z biłgorajskiej Jędrzejówki i Antoni Sołtys z Zyn w pow. biłgorajskim otrzymali nagrody równorzędne w kategorii solistów.

Jeśli zaś chodzi o jakiś sumujący wniosek, to stwierdzam, że cały festiwal, łącznie z towarzyszącymi imprezami, był znakomitą, beztroską zabawą, w której chętnie bym uczestniczył — nie wcześniej, niż za dwa lata. Liczyć też chyba można przy okazji na to, że Ministerstwo Kultury i Sztuki uporządkuje kalendarz festiwali folklorystycznych w Polsce, aby przynajmniej największe z nich nie odbywały się w tym samym czasie.

A jeśli kogoś interesuje szczyt moich kazimierskich wrażeń socjo-artystycznych, to poza lektura „Burczybasa", powielanego biuletynu festiwalu, zostały one zdeterminowane rzeźbą Stanisława Denkiewicza pt. „Pol Robson", przedstawiającą małego, lecz krzepkiego Murzyna przed mikrofonem o kształcie dobrze utuczonej kobry. Największe zaś wrażenie na publiczności wywarł węgierski Zespół Pieśni i Tańca Ludowego Tissa z Szolnoka, który swoiście interpretował m. in. Brahmsa i Montiego.

Pewien „zasłużony członek jury" ogłosił w „Burczybasie", że pilnie poszukuje kryteriów oceny. Odsyłamy do Huizingi, do rozdziałów traktujących o ludycznych motywacjach sztuki.

Praktyki wakacyjne studentów

Dokończenie ze str. 1

Ale były również i takie wypowiedzi, w których absolwenci twierdzili, że praktyka nauczyła ich, w jaki sposób wcześniej wychodzić z zakładu pracy, lub też, że student nie powinien pracować fizycznie, lecz że odpowiedni opiekun powinien informować praktykantów o *sposobie zarządzania i rodzajach druków*. Część absolwentów stwierdza jednak, że praktyka dała im dużo, że poznali pracę, ludzi i atmosferę w przedsiębiorstwach.

Natomiast przedstawiciele ankietowanych zakładów w zdecydowanej większości (95 proc.) uważają stan praktyk specjalistycznych za niewłaściwy. Dokładnie co czwarty zakład wskazuje na brak zainteresowania praktykami ze strony właśnie studentów. Niektórzy z nich traktują praktyki jako okres wypoczynku — coś w rodzaju wczasów.

Około 15 proc. przedstawicieli zakładów uważa, że praktyka jest zbyt krótka, aby można było ugruntować jakieś praktyczne wiadomości, a zwłaszcza nie należałoby praktyki dzielić na etapy. M. in. za przedłużeniem okresu praktyk opowiadają się Huta Stalowa Wola i Wojewódzkie Zjednoczenie Mechanizacji Rolnictwa w Lublinie. 13 proc. zakładów opowiada się za wprowadzeniem podczas praktyki pracy fizycznej z rozliczeniem tej pracy i odpowiednim wynagrodzeniem za przepracowane godziny. Ten sam pogląd reprezentują Zakłady Metalowe w Radomiu oraz Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, która poza tym uważa, że kontrola praktykantów powinna być taka sama, jak pracowników etatowych, wraz z rozliczeniem i wypłatą wynagrodzenia z dołu.

Na pewno koncepcja wprowadzenia pracy fizycznej jest uzasadniona chociażby takimi względami, że uczy praktycznie, zmusza do myślenia, uczy poszanowania samej pracy oraz daje możność oceny, czego można wymagać od innych na podobnych stanowiskach pracy. Uczelnie posiadają laboratoria, gdzie studenci w pewnym wymiarze godzin pracują pod nadzorem na tokarkach, frezarkach, zajmują się formowaniem, spawalnictwem, ślusarstwem. Dalsze ugruntowanie nabytych tam umiejętności byłoby ze wszech miar pożyteczne, ale zapytajmy konkretnie i logicznie: który zakład jest przygotowany do tego, aby dla kilkudziesięciu studentów stworzyć w okresie 6 tygodni samodzielne stanowiska pracy z odpowiednim nadzorem? Który zakład posiada nie wykorzystane obrabiarki, a jeśli tak, to dlaczego park maszynowy jest nie wykorzystany i po prostu się starzeje? Prawdopodobnie takich stanowisk w zakładach się nie stworzy, mimo że w roku 1970 zmianowość w przemyśle maszynowym w kraju wynosiła tylko 1,38.

Przedsiębiorstwa mają określone plany produkcyjne, więc traktują praktykantów jak zło konieczne; ale do tego przyznało się zaledwie 7,5 proc. zakładów, m. in. Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego oraz Przedsiębiorstwo Transportowe Handlu Wewnętrznego. Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych wnioskuje, że aby otoczyć większym dozorem praktykantów, zakładowi opiekunowie praktyk powinni być odciążeni od obowiązków służbowych. Warto więc zaznaczyć, że rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 31 marca 1972 r. zaleca częściowe zwalnianie opiekunów od innych zajęć, a przy liczbie ponad 30 studentów — zwalnianie całkowite.

Aby praktyki były praktykami w dosłownym znaczeniu, należałoby studentów przydzielać do określonych stanowisk pracy, by robiąc coś konkretnego jednocześnie uczyli się. Na pewno nie można praktykantowi powierzyć pracy przy precyzyjnej obrabiarce, ale w wielu przypadkach będzie on mógł wykonywać mniej dokładne operacje na obrabiarkach. Może również czynnie pomagać wysoko kwalifikowanemu pracownikowi oraz obserwować, poznawać różne konstrukcje maszyn i rodzaj wykonywanych na nich prac.

Do typowych tego rodzaju czynności można by zaliczyć przykładowo: ustawianie i mocowanie oprzyrządowania, mocowanie obrabianych przedmiotów, sprawdzanie na stanowisku zgodności wykonanych przedmiotów z dokumentacją, dostarczanie narzędzi z wypożyczalni oraz robót z rozdzielni na stanowisko pracy, a przy tym dokładne śledzenie procesów wykonawstwa. Można by powierzać studentowi pod określonym dozorem wiele prac ślusarskich. Praktykant powinien poznać praktycznie pracę kontroli wydziałowej, zaopatrzenia materiałowego, wypożyczalni narzędzi, rozdzielni, obieg dokumentacji przez kilkudniową, czynną pracę w tych komórkach.

Należałoby wreszcie przewidzieć możliwość towarzyszenia przez kilka dni mistrzowi, brygadziście czy ustawiaczowi. Jeśli mistrz przy tym będzie „głośno myślał", co robi, student przy nim wiele skorzysta. Oczywiste, że mistrz mógłby studentowi zlecać określone czynności do wykonania. Powinna być również zachowana w poszczególnych wydziałach i działach oraz na stanowiskach okresowa rotacja, kontrola pracy i rozliczanie.

Trzy zakłady pracy wypowiedziały się, że w czasie praktyk brak jest nadzoru z uczelni. Chorzowska Wytwórnia Konstrukcji Stalowych uważa, że uczelnia nie tylko powinna zwiększyć kontrolę studentów, ale również nie zabierać im czasu na egzaminy czy też inne prace na uczelni. To prawda, że codzienna i stała obecność opiekuna z uczelni wiele by wniosła, ale bynajmniej nie rozwiąże definitywnie tego problemu. W ubiegłym roku w jednym z dużych zakładów Lublina odbywało praktykę 30 studentów Wydziału Mechanicznego WSInż. Opiekun z uczelni ustalił harmonogram, według którego pięcioosobowe podgrupy miały, zmieniając się co tydzień, odbywać praktyki na wydziałach: mechanicznym, narzędziowym, montażowym, remontowym, tłoczni i ślusarni oraz obróbki termicznej. Organizowano również zwiedzanie wydziałów niezbyt bezpiecznych, jak odlewnia i kuźnia. Harmonogramy otrzymali kierownicy podgrup i zakładowy kierownik praktyk z sugestią, aby w poszczególnych wydziałach studentów przydzielać do odpowiednich stanowisk, o czym przedstawiciel uczelni decydować nie może. Czy w takim, rozproszonym układzie istnieje możliwość, aby opiekun z uczelni potrafił skutecznie dozorować każdego studenta w olbrzymim zakładzie?

Dlatego też słuszna wydaje się być sugestia kontroli stanowiskowej przez wykwalifikowanych pracowników. Opiekunowie powinni natomiast w grupach dyskutować i wyjaśniać napotkane przez studentów podczas pracy, problemy, stale współpracować z zakładowym kierownikiem praktyk, poddawać z nim wspólne tematy do zapoznania się i rozpracowania, a na zakończenie przeprowadzić rozsądny, ale w miarę ostry egzamin.

Na konieczność zwiększenia dyscypliny praktyk i ostrzejszą formę zaliczeń wskazują takie zakłady jak Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, Huta Szkła w Lubartowie czy też Przedsiębiorstwo Transportowe Handlu Wewnętrznego. O tym jednak, że zaliczanie praktyk w uczelni nie jest zwykłą formalnością, może świadczyć fakt, iż w roku ubiegłym autor tego artykułu wystąpił z wnioskiem o niezaliczenie praktyk czterem studentom z 30-osobowej grupy. Paradoksem byłoby bowiem zaliczanie praktyki studentowi, który opuścił wiele dni, bądź też posiada wprawdzie notatki i szkice, ale nie potrafi wyjaśnić, co dany szkic oznacza.

Sugestia przesunięcia praktyk na okres po trzecim roku studiów, jak to postulują niektórzy, wydaje się być nieco dyskusyjna. Student po trzecim roku posiada większy zasób wiadomości teoretycznych i jest bardziej świadom tego, jak najoptymalniej wykorzystać okres praktyki. Ale należy również brać pod uwagę fakt, że niektórym, niezbyt pilnym studentom, praktyk się nie zalicza i muszą je powtórzyć. Jeśli taki przypadek ma miejsce po drugim roku, student może uzupełnić praktykę po trzecim. Sytuacja się komplikuje, gdy to nastąpi po trzecim roku. Albowiem w szkołach inżynierskich po siódmym semestrze obowiązuje już 4-tygodniowa praktyka dyplomowa.

Wydaje się również wskazane stymulowanie inicjatywy zakładowych kierowników praktyk przez powszechniejsze uruchamianie bodźców materialnych. Rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie praktyk studenckich z marca 1972 r. przewiduje bowiem, że na wniosek szkoły zakład pracy może przyznać wyróżniającemu się zakładowemu kierownikowi praktyk nagrodę w wysokości 20 proc. wynagrodzenia miesięcznego, niezależnie od 10—30 proc. miesięcznego dodatku. Stosowanie tej zachęty nie jest zbyt rozpowszechnione.

Wielu studentów w czasie praktyki unika pracy fizycznej i w ogóle pracy w wydziałach produkcyjnych, co stwierdza się np. w Lubelskiej Fabryce Wag. Przedstawiciele innego zakładu wprost stwierdzają, że niektórzy młodzi ludzie, wychowani w cieplarnianych warunkach, są przekonani, że oni powinni tylko brać z ogólno-społecznego dobra, nic w zamian nie dając i że w zakładzie powinni być ośrodkiem szczególnego zainteresowania i opieki, a wszelkie decyzje nie po ich myśli rodzą w nich pojęcie krzywdy i niezadowolenia.

Stanisław Romanowski

Kamena str. 8

Wycinanka. Wyk. Zofia Sałek, Lublin.

Fot. A. Gauda

Rzeźba Czesława Lipy z Siedlisk, pow. Krasnystaw.

Fot. St. Butrym

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok VIII Lipiec 1972 Nr 23

Lubelski Oddział STL

W LUBLINIE odbyło się Walne Zgromadzenie Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Dokonało ono oceny dotychczasowej działalności Oddziału, wybrało nowe władze, powołało Radę Społeczno-Programową oraz wytyczyło kierunki dalszej pracy.

Lubelski Oddział STL do 1972 r. działał właściwie przy Biurze ZG i dopiero od stycznia br. ma wydzieloną dokumentację, kwestią najbliższej przyszłości jest uzyskanie własnego lokalu oraz etatu. To samo dotyczy budżetu, gdyż dotychczas Oddział finansowany jest przez ZG. Brak własnego budżetu jest rekompensowany ścisłą współpracą z Biurem Stowarzyszenia, Wojewódzkim Domem Kultury, Muzeum Okręgowym, TWP, ZMW, „Ruchem" itd. Niewątpliwie dużą pomocą dla Oddziału są kluby przyjaciół twórczości ludowej w Puławach, Krasnymstawie, Zamościu, Tomaszowie i Parczewie. W maju dołączyła również Bychawa, zaś w trakcie organizacji są kluby w powiatach chełmskim, janowskim i biłgorajskim.

Dotychczasowa działalność lubelskiej placówki była bardzo różnorodna. Przede wszystkim nacisk położony był na pozyskiwanie nowych członków STL, dzięki czemu liczba ich wzrosła do 84, zaś sądząc po liczbie kandydatur należy spodziewać się dalszego poważnego wzrostu liczebnego już w najbliższych miesiącach. Dotychczasowy zarząd z prezesem Janem Główką na czele wykazywał wiele troski o sprawy bytowe i honorowe członków. I tak np. tylko w roku 1971 wystąpiono w 26 przypadkach o pomoc materialną dla niezamożnych twórców, z czego 24 wnioski zostały załatwione pozytywnie. Zarząd pośredniczył także wielokrotnie w zakupach dzieł ludowych artystów Lubelszczyzny i umożliwił im sprzedanie wyrobów Wydziałowi Kultury PWRN, Muzeum Okręgowemu, a także osobom prywatnym.

Szczególne słowa uznania należą się Oddziałowi za popularyzację sztuki ludowej. Chodzi tu o konkursy, kiermasze, wystawy i spotkania z twórcami. W 1970 roku wspólnie z ZG STL członkowie Zarządu Oddziału przystąpili do wyszukiwania i zachęcania młodych twórców do dalszej pracy. Efektem tego był udział 25 osób z naszego regionu w konkursie, ogłoszonym przez ZG STL, ZW ZMW, Wydział Kultury PWRN oraz Muzeum Okręgowe w Lublinie. Młodzi lubelscy rzeźbiarze, garncarze, kowale, tkaczki, pisankarki zdobyli 17 nagród i wyróżnień na łączną sumę 15 tysięcy złotych, zaś większość ich prac po wystawie została zakupiona przez Muzeum Okręgowe.

Godnym odnotowania faktem jest też nawiązanie stałej współpracy z Zarządem Uczelnianym ZW ZMS UMCS i organizowanie licznych spotkań z twórcami lu-

Dokończenie na str. 2

Konkurs poetycki im. Jana Pocka

W I rocznicę śmierci wybitnego poety ludowego Jana Pocka rozstrzygnięty został konkurs zorganizowany przez Zarząd Główny STL, w którym uczestniczyło 87 poetów, zaś łączna liczba nadesłanych przez nich utworów przekroczyła 300. Jury w składzie: dr Jacek Kajtoch — przewodniczący oraz doc. dr Alina Aleksandrowicz i dr Roman Rosiak — członkowie, przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda ex aequo — Hanka Nowobielska z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ — za wiersz „Ptosecek" oraz Stanisław Buczyński z Kotorowa, pow. Hrubieszów — za wiersz „Będą śpiewem ptaków" — po 1500 zł;

II nagroda — Józef Małek, Boży Dar, pow. Bychawa — za zestaw wierszy — 1200 zł;

III nagroda — Maria Kozaczkowa z Dąbrowy Tarnowskiej — za zestaw wierszy — — 800 zł;

Wyróżnienia ex aequo — Emilia Michalska z Pruchnej, pow. Cieszyn oraz Bronisław Pietrak z Gutanowa, pow. Puławy — po 500 zł.

Laureatom tego pierwszego dorocznego konkursu dedykowanego pamięci autora „Zgrzebnych pieśni" serdecznie gratulujemy.

Hanka Nowobielska

Ptosecek

Za salunkiem, za ofiśnom deskom,
jakisi ptosecek u nos miesko.

Jesce oców nie ozewrem rano,
kie on dzióbkiem kłuje juz za ścianom.

Melduje sie mi posłuśnie, lem świt,
pyta huncwot tym stukaniem: „nie śpis?"

Teroz ś nim juz przylatuje drugi,
pewnie se tam gniazdko pragnom uwić.

Przysiado na płocie na lajsienkak
scypta puchu zwinno, fryśko, miętko;

Takie to sykowne, letkie, zgrabne,
jakby z samyk piórek wyzdajane.

A w tyk piórkach, co som bure, żółte,
pełno swojskik, zawse ślicnyk nutek.

Białka Tatrzańska, pow. Nowy Targ

Stanisław Buczyński

Będą śpiewem ptaków

O miłowanie moje, ziemio moja,
tobie już dzieckiem zaprzysiągłem wierność —
na każde źdźbło zawieś kroplę rosy,
ale nie żałuj próchnicy i cierniom...

Jestem powojem, ziemio miłowana,
i jako powój wznoszę ręce drżące:
O daj kwitnienie żytom i pszenicom,
lecz i kąkolom przyprósz główki słońcem...

Ródź, ziemio moja, mak dziki i osty,
żniw będzie pora i żeńcy na czasie:
Nasiona chwastów będą śpiewem ptaków,
a ziarna pszenic — na chleb i na zasiew...

Kotorów, pow. Hrubieszów

Józef Małek

Błogosławione

pole
z rozwianą grzywą
galopuje w letnią ciszę
wiatr dojrzewa zapachem
pieczywa
i weselnych szyszek
a słońce ścieka na kłosy
na krople potu
w ziarno zastygłe
błogosławione niech będą
ręce prostych
niezdarne w kochaniu
w pracy śmigłe

Boży Dar, pow. Bychawa

Maria Kozaczkowa

Przydrożny świątek

Szukając przyjaciela, by serce otworzyć,
ominąłem świątynię wonną kadzidłami...
Poszedłem na rozstaje, gdzie stał świątek Boży
pochylony nad ostem i nad rumiankami.

Był sczerniały od wichrów, bez dachu nad głową,
samotny — jak wygnany kupiec z synagogi...
Nie taki, jak w kościele, przed którym się modlą;
widać ten na rozdrożu — był Bogiem ubogich.

Nie było obok niego świateł ani złoceń
wotywnych... Było smutniej, wilgotniej i ciemniej...
Jakże mógłby mi pomóc? Przy złamanym płocie,
na tym deszczu był jeszcze biedniejszy ode mnie...

I tam pojąłem, gdzie jest Bóg dla smutnych ludzi
nieodłącznych przyrodzie dla chleba czarnego...
Czy Bóg stworzył człowieka, ażeby mu służył,
Czy człowiek stworzył Boga — żeby mieć sędziego?

Dąbrowa Tarnowska

Józef Małek

Zabytek

GROMADZKIE zebranie poświęcone obchodom 1000-lecia Państwa Polskiego przebiegało bardzo ciekawie. Na zakończenie trzygodzinnego przemówienia delegat z powiatu rzucił apel:

— Rozejrzyjcie się, obywatele, po gromadzie, a na pewno znajdziecie coś godnego ochrony!

Zaczęliśmy się rozglądać; nie ma nic. Gdyby trochę wcześniej, to owszem... A tak ostatnie cegły z pałacu Kazimierza Wielkiego przewodniczący GRN zwiózł sobie stójkowymi furmankami na oborę, a tysiącletni dąb przydał się sekretarzowi na przyciesie pod mieszkanie.

Rozglądamy się w dalszym ciągu i rozglądamy, a tymczasem delegat nagli:

— No co? Obywatele, macie coś? Mówcie, bo trzeba podjąć uchwałę w sprawie ochrony!

Zaległo milczenie.

Sytuację uratował Franio Agrest:

— Jest. Szkoła tysiąclecia w Plewniarce Małej!

Zbaranieliśmy.

Jak to, ochraniać szkołę, której mury w ubiegłym roku pociągnęliśmy do glajchy i której nie mogliśmy wykończyć, bo materiał rozkradziono? Parapetów mamy pilnować? Przecież to budowa, nie zabytek!

A tymczasem Franio mówił dalej:

Szkołę trzeba wziąć pod ochronę. Z funduszu przeznaczonego na kulturę opłacimy stróża i niech pilnuje murów, bo się całkiem skurczą. A przecież szkoła przyda się dla naszych dzieci. Bo kto wie, co one mogą z niej zrobić, gdy dorosną?

I tak rada w radę wybraliśmy na stróża Henia Pazurka z milleniową pensją miesięczną. Henio Pazurek zabytku pilnuje rzetelnie. Żeby go mieć stale na oku, wybudował sobie obok ładny domek. I chociaż szkoła w czasie budowy domku zmalała do fundamentów, to Henio stara się o zabytek jak może.

Boży Dar, pow. Bychawa

Wanda Kościelniak — Czubernatowa

Jo, Jasiek mój i auto

JASIEK mi susył głowe, coby kupić auto. Padoł: teroz kozdy uciwy gazda mo stryka w Amaryce, rzeźbi loski, abo kuje żelazne kumedyje panom, abo wreście mo auto. A semnie sie jus śmiejom kolegowie, bo co jo za chłop — ani rzeźbić nie umiym, ani stryka w Amaryce nimom, te dwa konie i tyn bic. O biydny jo, biydny...

Toki ci kupie, dziadu wołowaty — pedziałak mu grzecnie. „Rusyło mie przecie, kie zacon o Marynie opowiadać, jakie auto kupiła chłopu. Wielgie jak piec. I nie zadnom turgołke, ba, taksówke. Maryna, hy, Maryna przedaje swedry a do wełny przędzie wate, to beskurcyjo dudki mo. Cy jo gorso?

Nie przedajem to krówskik oscypków za owce, a margaryne z masłem, a mąke ze śmietonkom, a i z kyrpcami się wyskocy w Polske. Wyciągłak te grose spod cycka i padom — ne. Kup se jus to auto, wilcy krztoniu siwy. Kupił. Niedobrze.

Roz sie Jasiek ino przeonacył, bo se wlol wode do zadku, a gajs, cy tys benzyne do przodku, a to miało być inacy. Pote ozwalił wychodek, wrota do boiska, kawołek płota i wpod do dziury po kisonkak. Pote pourywoł syćkie kółka i kie zacon sprawiać z Franka Ciapajowego Józkem, tak sie im jedno zwysło.

A pote powyjmowoł z przodku totyn motor, bo mu śtraśnie burcoł i przełozył na zadek. Przy przekładaniu zwysło sie mu zaś pore śrobek i jakiesi korby i gwinty, to doł Józkowi za robote.

A jesce pote, to jus jeździł po całyj wsi, ino se z przyzwycajenio broł bic i worek ze sieckom i broł jesce ze sobom kolegów. On, cyli Jaś pehoł auto z przodku, a kolegowie ze zadku. Haj.

Raba Wyżna, pow. Nowy Targ

Ziemia i Pieśń str. 1

Lubelski Oddział STL

Dokończenie ze str. 1

dowym w środowisku studenckim. Trudno też nie wymienić organizowanych od trzech lat Wojewódzkich Targów Sztuki Ludowej w Zamościu, w których uczestniczy zawsze około 15 twórców z naszego województwa. W ramach tej imprezy w 1971 roku rozstrzygnięty został konkurs na wiersz o Zamościu, w którym obok pisarzy profesjonalistów i nieakrewsonych wzięli także udział członkowie STL, zdobywając trzy nagrody. W tymże roku zorganizowany był także kiermasz sztuki ludowej w Gościerdowie, z udziałem 11 członków Oddziału. Nieco wcześniej, bo w maju ub. roku, pięciu twórców brało udział w kiermaszu zorganizowanym równolegle z wystawą sztuki ludowej Lubelszczyzny w „Domu Chłopa" w Warszawie. Poza tym członków Oddziału nie zabrakło w wielu imprezach krajowych, jak np.: w Festiwalu Folklorystycznym w Płocku, Festynie „Chłopskiej Drogi" w Gnieźnie (1971) i Koniecznach (1972), Ogólnopolskim Festiwalu Śpiewaków i Kapel Ludowych w Kazimierzu, Jarmarku Pieśni i Tańca w Mielcu, „Cepeliadzie" w Warszawie, Jarmarku Wieków w Lublinie itd. Rozmach, z jakim Oddział organizuje bądź współorganizuje kiermasze, sprawił, że zapotrzebowanie na dzieła twórców z naszego regionu stale wzrasta i często trudno nawet zaspokoić te potrzeby.

W okresie od 1962 do 1972 roku pisarze lubelscy wydali 5 samodzielnych tomików: Stanisław Buczyński — „Maki" i „Dzień walki", Bronisław Pietrak — „Kąkole", Jan Pocek — „Malwy" i Władysław Kuchta — „Bławatki", publikując w nich 190 wierszy. W czterech tomach „Wsi Tworzącej" 30 pisarzy naszego regionu zamieściło 403 utwory wierszem i prozą, w „Antologii współczesnej poezji ludowej" — 19 poetów przedstawiło 165 wierszy, w 4 innych antologiach („Od Bugu do Tatr i Bałtyku", „Wiersze proste jak życie", „Chłopski znak" i „Pogłosy ziemi") — 22 poetów opublikowało 106 pozycji. W sumie: w 14 książkach znalazło się 30 powtarzających się nazwisk i aż 864 utwory. A przecież trzeba by do tego dodać setki wierszy porozrzucanych po różnych kalendarzach, wydawnictwach zbiorowych itp.

Nie inaczej jest z prasą. Tu niewątpliwie duże słowa uznania należą się przede wszystkim „Chłopskiej Drodze". Na łamach tego pisma, jak też „Zielonego Sztandaru", „Tygodnika Kulturalnego", „Głosu Młodzieży", „Naszej Wsi" i prasy lubelskiej ukazały się liczne sylwetki naszych twórców, jak też artykuły oceniające ich dorobek i — rzecz jasna — setki wierszy, opowiadań, legend, aforyzmów itp.

Osobno wspomnijmy o dodatku „Kameny" — „Ziemia i Pieśń". W 22 wydanych dotąd numerach znaleźć można 69 utworów, które wyszły spod piór lubelskich poetów ludowych, 20 reprodukcji dzieł sztuki i 21 artykułów i sylwetek. Trudno także zapomnieć o 2 numerach „Biuletynu STL", gdzie nie brak nazwisk członków Oddziału we wszystkich dziedzinach twórczości.

Wymieniać można długo, bo przecież pozostało jeszcze Polskie Radio i Telewizja, setki spotkań autorskich i odczytów. Nawet największy malkontent musi przyznać, że są to osiągnięcia (pamiętajmy: w skali tylko jednego wojewódzkiego oddziału) niebagatelne. Tak też oceniło je państwo, czego dowodem są liczne odznaczenia i nagrody dla członków Lubelskiego Oddziału STL, jak np.: 2 nagrody wojewódzkie dla Kazimierza Rogowskiego (1970) i Pauliny Hołyszowej (1971), Złote Krzyże Zasługi dla Jana Pocka, Stanisława Buczyńskiego i Władysława Kuchty na XXV-lecie PRL, liczne odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, nagrody pieniężne i dyplomy. I oczywiście to, co nie jest wymierne: wzrastający z dnia na dzień szacunek i uznanie społeczeństwa dla nie tak dawno mało komu znanych „twórców spod strzechy".

Na 84 członków Oddziału lubelskiego aż 48 to pisarze, dalej 20 rzeźbiarzy, 17 garncarzy, 10 tkaczek, po kilku przedstawicieli kowalstwa artystycznego, plastyki obrzędowej, wycinanki, pisankarstwa, wyrobów ze słomy, plecionkarstwa i malarstwa (niektórzy uprawiają kilka dyscyplin, stąd różnice w podsumowaniu). Nie sposób wymienić wszystkich zasłużonych dla poszczególnych dyscyplin twórców, których sława dawno przekroczyła granice województwa, nieraz nawet kraju, z konieczności więc wypadnie ograniczyć się do kilkunastu nazwisk, obok których trudno przejść obojętnie. A więc: Jan Sławiński, Teofil i Jan Gajewscy, Kazimierz Rogowski, Jerzy i Paweł Witkowie — garncarze, Marian Adamski, Aleksander Fijałowski, Tadeusz Szkodziński, Stanisław Szulc — rzeźbiarze, Seweryna Świder — tkactwo, Józefa Pidek i Zofia Salek — plastyka obrzędowa i wycinanka, Edward Bychowski — kowal. Spośród poetów wymieńmy: Stanisława Buczyńskiego, Józefa Malka, Jana Główkę, Paulinę Hołyszową, Władysława Kuchtę, Mariana Karczmarczyka. Osobne miejsce zajmuje Bronisław Pietrak — poeta, kowal i autor wycinanek w jednej osobie.

Ci wymienieni i w równej mierze pozostali członkowie Oddziału stanowią najlepszą gwarancję, że ambitne plany nakreślone na ostatnim zjeździe i przedstawione nowemu Zarządowi, którego prezesem jest Józef Małek, zostaną w pełni zrealizowane, czego niestrudzonym popularyzatorom sztuki ludowej i twórcom szczerze życzymy.

Roman Rosiak

Ziemia i Pieśń str. 2

Z warsztatów tkackich w Kocku nieprzerwanie wychodzą poszukiwane na rynku barwne kilimy lubelskie.

CAF — fot. J. Trembecki

Nagrody im. J. Pocka

11 maja br. odbyła się w Warszawie uroczystość wręczenia dorocznej ogólnopolskiej nagrody artystycznej im. Jana Pocka, ustanowionej staraniem „Chłopskiej Drogi" dla najbardziej zasłużonych twórców ludowych. Jury, któremu przewodniczył Mieczysław Róg-Świostek, redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi", przyznało siedem równorzędnych nagród w wysokości po 10.000 zł każda oraz dyplomy następującym twórcom:

Felicji Jaroszewicz, tkaczce z Janowa k. Sokółki, woj. białostockie; **Wincentemu Krajewskiemu**, rzeźbiarzowi z Zawidza Kościelnego, pow. Sierpc, woj. warszawskie; **Emilii Michalskiej**, poetce z Pruchnej, pow. Cieszyn, woj. katowickie; **Hanie Nowobielskiej**, poetce z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ, woj. krakowskie; **Klarze Prillowej**, wszechstronnie utalentowanej twórczyni ludowej z Kcyni, pow. Szubin, woj. bydgoskie; **Feliksowi Rakowi**, poecie i prozaikowi z Borowca, pow. Włoszczowa, woj. kieleckie; **Janowi Stawińskiemu**, garncarzowi z Pawłowa, pow. Chełm, woj. lubelskie.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy, ciesząc się, że wśród nich znalazł się przedstawiciel naszego regionu.

Zygmunt Kupisz

Do pięknej pszenicy

Patrzę na ciebie,
jak na matczyną twarz,
dojrzewająca pszenico moja,
urodą kształcą się twoje kłosy
i złocą w słońcu,
żywię nadzieję w sercu,
że wydasz dorodny plon
ciężkiego ziarna
i białą słodyczą ciasta
nakarmisz nas,
jak swoim mlekiem
matka.

Łany, pow. Puławy

Jan Główka

I dźwiękiem się staniesz

Jest tu takie miejsce, gdzie serce ochłodzisz:
Dąb w sąsiedztwie z bukiem, jarząb razem z klonem,
Dziki bez wśród leszczyn i świerk świerka goni,
A w potoku niżej całe niebo w wodzie.

Popatrz, tam za jarem — to tylko zejść z drogi,
Za ten jar, a potem trochę skalnych złomów.
Ptactwo się tu trzyma jakby swego domu
I wszystko, co leśne, chodzi jak po swoim.

Ludzi tu nie widziałem — nikt na pewno nie wie,
Ile tu tego piękna za jarem się kryje,
Ile jest za nim śpiewu — nie rozeznasz, czyj on.

Ptasi śpiew ten, leśny, czy to ty sam śpiewasz —
Aż wszystko wraz z tobą w jedną pieśń się zleci
I dźwiękiem się staniesz, jak inne w tej pieśni...

Nielisz, pow. Zamość

Władysław Kuchta

Wiersz mój niech powie

przemówił do mnie Różewicz
zwrotkami swych wierszy
i rzucił iskrę
w mrowisko mej myśli
i odtąd rozpoczął się wir
pożwalam swej jaźni
niech drży niech się wspina
po lepszy owoc poezji

może ta droga jest dobra
po której się toczy wiersz
bez rymu i składni
a jednak mający w sobie
i werwę i życie i dźwięk
nutę serdecznej pieśni
więc biorę na usta swe
nowe zrodzone słowo

niech je czas zważy
ilekroć biorę do ręki
różę rozkwitłą z ogródka
czuję woń subtelną
a wiersz mój niech powie
czy słowo w nim żywe
czy nuta w nim barwna
czy jest trochę w nim słońca?

Mełodutyn, pow. Chełm

Rzeźba Władysława Sitkowskiego ze Zwierzyńca, pow. Zamość.

Foto: autor

Antoni Czaja

Żywe ślady

Pod oficyną dawnych lat
znalazłem żywe ślady
życie pulsujące za dnia
miejsce pachnące stawem

tańczący poszum drzew
góry i Goraj stary
jasnący przepływ rzek
równiną pod Zastawiem

widziałem tu wilgoć dna
kamień wapień głaz i piasek
na drodze tuż obok bagien
zrodził się Krasickiego wiersz

„Bogdaj się człowiek dobry
w tych stronach nie gnieździł!"

Goraj, pow. Biłgoraj

Autonomiczny dodatek „Ziemia i Pieśń" redagował dr Roman Rosiak

Władysław Sitkowski

Ziemia

Rozkłada pączki
na półmisek
dnia.
Srebrzony lemiesz
brzmi kantatą.
A potem —
nadziei pełnią
oddaje
dojrzały płód
i
na paciorkach
jarzębin
odmawia
różaniec.

Zwierzyniec, pow. Zamość

Więzień Majdanka — rzeźba Tadeusza Cąkały ze wsi Sobiska, pow. Łuków.

Fot. St. Butrym

Adam Pach

Jako Gustaw Baniecki świętym osioł

JAKOSI przed piersom wojnom światowom Gustaw Baniecki murował w Podcerwiennym piwnice. Zarobił dutków dość, iszło poszł do miasta Nowego Torgu na jarmak, cyby nie przykupić sukna na portki. Na jarmaku zgiełk był strasny, ludzi sie zgichło niemało. Gustaw wypatrzył sukno, wytargował i kupił, zaś po dródze, ze sie mu dutków zwysyło, to jesce kapelusz nabył.

Gustaw rod ze siebie, ze sie tak wartko uznon, wstąpił do karcmy garło popłuknąć i było by, kie by było, coś, kie w karcmie zastoł kolega budorza Maćka zpod Łysynca i jak sie zacyni nukać, tak pod wiecór dobrze przynapici rusyli do domu. Śli na nogak, bo obidwoje mieli chody jako sie patrzy. Maciek w polany, Gustaw w Podcerwiennie... Gustaw idzie wierchami, ze tba mu sie kurzy a ze miol piekny głos, to se ta od czasu do czasu wyciągnon ozwodnom starościekom, jaze sie po wierchak ozlegało. Idęcy ani sie spostrzóg, ze sie cosi za wartko ściemniało. Corne chmurzyska przysiadły na niebie i wzion perciś drobny dyść. Zrazu drobny, potem coraz krubszy, jaze przysła noremnica, ze wody z miejsca rusyły.

Gustaw dochodził akuratnie ku kaplicce, co przy drodze stoła... Kie dyść zacon po nim coraz barzej cupkać, schowoł sie za kaplicke pod okap, coś, kie noremnica coraz mocniej dokucała i choć Gustaw stoł pod daszkiem, to mu ze spodku po nogak coraz barzej loło.

Zacon medytować, cyby nie lepiej sie nie schować, obziero sie na zyćkie strony, jaze wypatrzoł w murze kaplicki wnękę, co święty Jantoni w niej siedziol... Podeszł ku świętemu i patrzy, cyby sie przy nim nie zmieścił. Coz, kie święty był akuratnie do wnęki przysposobiony. Gustaw nie wiele myllęcy wyjon figure świętego, złozył pod dasek, przepytując go tyz pieknie, ze krzywdy mu nie robi:

— Święty Jantoni, ni miej zolu do Gustawa, ze cie z miejsca porusył, ale som widzis, kielok domocony! Tyś ta ino z drzewa wydłubany i nie cujes tak, jako jo. Krzywdy ci nie bedzie, boś pod dachem a ze cie z dołu namocy, to bez to dość jes sie do słonecka nawygrzywoł, to ci nawet dobrze zrobi.

Gustaw wredykoł sie do wnęki po świętym, złod se wygodnie i zarus w imie ojca uznon. I byłby sie Gustaw rzetelnie wyspoł, coz, kie święty Jantoni, tyn prosedziwy, namyśliol mu figla zrobić.

Niedaleko od kaplicki była gazdowska Torbiorza. Iruby to był gazda, miol śtyry urodne dziewki i zyna sietniaka, co mu i rozumu hybtało a i wiecnie go boloki tropiły, śmierdziało okrutnie od niego, to sie go siostry wrodziły a i ociec go nierod widziol, bo nic nie umiol przy gazdówce zrobić, bo nawet krów nie zapos, ba potrafił i skody ino robił...

Z wiecora ku Torbiorzowym dziewkom przyśli parobcy w zaloty, to tego sietnioka brata wygnały z izby, coby im wstydu nie robił. Nazywali go głupim Maciusiem. Nie był on telo głupi, za jakiego go mieli, ale ze w doma tno sturchańcami go cęstowali i do niego nie dopuścili, to dorełty udowoł głupiego. Zmierzło mu zycie chetki i kie go z wiecora z izby wyrucili, namyśliol iść we świat, choćby mu przysło po prośbie między ludziami zyć.

Rusył przed sie weas rano i kie słonko wysło zzo wierchu, naloz sie przed kaplickom. Zazolił sie biedok chetki nad swojom niedolom, klęknon przed świętym Jantonim i ze zolu ryknon nad swojom niedolom w całe garło:

— Święty Jantoni! Święty Jantoni! — wołoł w cały głos. Juści Gustaw sie obudził i patrzy na biedoka, co tak skomli...

Wnetki sie jednak obocył, ze sietniok uznoł go za świętego i myśli, jakoby sie w tej świętości pokazać. Nie płac, moje dziecko! — rzeknon ochrypłym głosem Gustaw, zyćko bedzie dobrze. Moześ głodny?

Maciuś wytrzeszcył ocy na głos świętego i gębę ku ziemi przynizył... boł sie, ze go święty do nieba weźnie — i tak leżoł na ziemi dość długom kwile. Zatela Gustaw wysoł z wnęki i złozył w niej rzeźbionego świętego Jantoniego, dźwignon Maćka ze ziemi, uracył go kuksteckom, co na jarmaku kupił i kozoł mu iść ze sobą.

Maciek robił przy Gustawie, murowali piwnice. Gustaw, ze sie na lekak znoł, wylecył go z tyk wrzodów i z Maćka zrobił sie parobek jako patrzy.

Tak to wej Gustaw Baniecki na kwile świętym osioł, ale o tym nik sie nie dowiedziol, bo Gustaw rzetelny chłop był.

Gustaw niedawno pomar, Maciek zyje do dziśka i gazduje u Torbiorzy na ojcowym gruncie kwoli świętego Jantoniego, ze go z głupoty i biedy wybawił...

Zakopane

Nowy Zarząd Lubelskiego Oddziału STL

Prezes — Józef Małek, Boży Dar, pow. Rychawa; wiceprezesi — Aleksander Fijałkowski, Garbów, pow. Puławy i Czesław Lipa, Siedliska, pow. Krasnystaw; członkowie — Jan Główka, Nielisz, pow. Zamość; Maria Gleń, Zakręcie, pow. Krasnystaw i Emilia Olszak, Zardź, pow. Puławy. Siedziba Zarządu Lublin, ul. Dąbrowskiego 3, tel. 345-14.

MOJE LEKTURY

Broniewski: troska i pieśń

PRZED kilku laty „Wiedza Powszechna" zapoczątkowała serię książkowych portretów współczesnych pisarzy. Ukazało się kilka poświęconych autorom polskim i obcym, m. in. rzecz Ziomka o twórczości Kazimierza Brandysa oraz Kijowskiego o Marii Dąbrowskiej. Nie wiadomo, dlaczego seria ta nie rozwinęła się należycie i nie otrzymała kontynuacji. Myślę, że obecna inicjatywa Państwowego Instytutu Wydawniczego, który wypuścił na rynek księgarski serię „Portrety Współczesnych Pisarzy Polskich", spotka los przychylniejszy. Czytelnik otrzymał książki o zgrabnym formacie, na dobrym papierze, ładnie graficznie pomyślane. Inaugurują serię książki A. Gronczewskiego o Iwaszkiewiczu, Z. Ziątka o Pruszyńskim, H. Voglera o Różewiczu oraz Wiesława Pawła Szymańskiego o Gałczyńskim. Na samym jej początku znalazła się rzecz Tadeusza Bujnickiego o Broniewskim. Jej chcę na tym miejscu poświęcić nieco uwagi.

Nie wiem czym wytłumaczyć zjawisko dosyć osobliwe, że poeta tej miary, co Władysław Broniewski, otrzymuje „swoją" książkę (jeśli nie liczyć dawnej broszurki R. Matuszewskiego i tomu materiałów w „Bibliotece Polonistyki") dopiero w dziesięć lat po śmierci. Myślę, że poezja Broniewskiego działała po prostu paraliżująco na badaczy. Stereotypowe wyobrażenia o niej, sprowadzenie zawartości ideowej i artystycznej wierszy Broniewskiego do paru uproszczonych formuł, utrudniały dotarcie do tego, co w liryce autora „Mazowsza" było najcenniejsze. W tym stanie rzeczy pisanie monograficznej książki o poecie należy uznać za akt sporej odwagi.

Jeśli więc zważyć skalę trudności, przed jakimi stał monografista Broniewskiego, wynik otrzymany w postaci książki Bujnickiego należy uznać za świetny. Rzecz o Broniewskim zaczyna się od przedstawienia biografii poety, ponieważ życiorys własny stanowił podstawowe tworzywo artystyczne Broniewskiego, zgodnie ze słowami z wiersza „Do poezji": *Moje życie podobne lustru*. Była to biografia niezłomna, heroiczna, co poświadczają słowa poety, a także wspomnienia bliskich. Leon Kruczkowski napisał kiedyś o Broniewskim, że *należał do tych, co raczej dadzą się złamać niż przygiąć do ziemi*.

Następne części książki Bujnickiego ukazują kolejne kręgi problemów twórczości Broniewskiego. Ukazuje więc autor „tło debiutu poetyckiego" twórcy „Komuny Paryskiej" i jego drogę — by powtórzyć formułę Wandurskiego — „od Legionów do rewolucji". W ujęciu tym wojna i Legiony stanowiły dla Broniewskiego nie tylko element biografii, lecz „istotne składniki twórczości", te doświadczenia budowały jego ideowe i poetyckie oblicze. Bujnicki obszernie i trafnie ukazał ówczesny punkt dojścia Broniewskiego — debiut książkowy był już bowiem dziełem pisarza-komunisty, poety proletariackiego, jednego ze współautorów „Trzech salw". Wskazano też na odrębność poezji Broniewskiego od poetyckiej awangardy, z którą początkowo sympatyzował i od Skamandra, z którym zresztą łączyło go wiele, na osobistych przyjaźniach skończywszy; dodajmy jeszcze, że Broniewski był przez wiele lat sekretarzem redakcji „Wiadomości Literackich".

Najmniej może odkrywcza, z powodów wspomnianych na początku, jest część książki poświęcona poezji rewolucyjnej Broniewskiego, choć spotkać tu można sporo stwierdzeń interesujących i wiele wnikliwych analiz poszczególnych utworów. Przekonywająco dowiedziono funkcjonowania zasady „przekształcania wartości osobistych w społeczne, bądź też odwrotnie — społecznych w osobiste". Najciekawsze wydały mi się dwa ostatnie rozdziały monografii Bujnickiego. W jednym z nich pokazał obszernie i przekonywająco sztukę poetycką Broniewskiego. Ma ona rodowód romantyczny, ale poeta dokonał w modelu tej poezji głębokich przekształceń i właśnie przekroczenia schematów nabierają decydującego znaczenia.

Bujnicki zbadał kolejno różne elementy struktury poezji Broniewskiego, między innymi jej nastawienie na adresata, na odbiorcę. Większość wierszy Broniewskego to poezja estrady, pisana z myślą o odbiorcy słuchającym — czytamy w jednej z konkluzji. Pieśniowość i deklamacyjność — stanowią dwie główne zasady organizowania wiersza. Z dużą subtelnością dowodzi badacz wielkiego — wbrew pozorom — bogactwa ustroju artystycznego tej poezji, który tę pieśniowość i estradowość wpiera. Albowiem poezja Broniewskiego zawsze o coś walczy, do czegoś wzywa, jest liryką apelu, wezwania lub nakazu, była „sporem pragnienia i rzeczywistości" — jak pięknie w jednym miejscu napisano. Wiersze Broniewskiego mówiły wprost, bez awangardowego pseudonimowania i „wstydu" uczuć, dawały bezpośredni wyraz przeżyciom i emocjom. Miały wywoływać u odbiorcy „sytuację współodczuwania".

Zamyka książkę rozdział poświęcony omówieniu tradycji literackiej i jej roli w poezji Broniewskiego. Romantyzm (Słowacki, Norwid) i neoromantyzm (Wyspiański, Żeromski) stanowią podstawowe składniki tej tradycji, a przejawia się ona w niezliczonych aluzjach literackich, nie zawsze łatwych do wykrycia. Bujnicki dowiódł (miał zresztą już zadanie ułatwione — istnieją bowiem wnikliwe szkice Z. Siatkowskiego o Broniewskim), że aluzja wiązała się albo z polemiką, albo oznaczała akceptację określonych postaw. Autor „Bagnetu na broń" należał bowiem jeszcze do pokolenia romantycznego, które osobisty los wiązało ze sprawą narodu, a on sam wzbogacał swą postawę o motywację socjalistyczną. I wszystko to było na wskroś osobiste. Sprawy nie układały się po linii prostej. Nawet z perspektywy lat, w ostatnich wierszach dochodzą do głosu przeciwstawiające się sobie stanowiska. Zawarły się w utworach z ostatniego czasu — cytuję Bujnickiego — doświadczenia rozmaite: i te prowadzące do optymistycznych wniosków, i te które wiodły ku rozpaczy. Ich motywacje również bywały różne: osobiste i społeczne, światopoglądowe i psychologiczne. Dramatyzm żywiołu rewolucyjnego splatał się w jedno z tragiczną liryką osobistą, jak słusznie zauważył jeden z krytyków.

Naczelną wartość książki Bujnickiego widziałbym w tym, że dał spojrzenie na poezję Broniewskiego zgodne z intencją twórcy. Nie należy więc jej „interpretować jako publicystycznej", lecz widzieć ją i odczytywać jako **poezję**. Bujnicki z wielką precyzją pokazał jej mechanizmy, wskazał na nowe obszary liryki Broniewskiego. Przyznam się, iż niektóre cytaty, a nawet całe wiersze, zabrzmiały inaczej, jakby to były utwory innego niż Broniewski poety. Okazało się też, iż jego twórczość w o wiele większym stopniu niż się przypuszcza związana była z równoległymi zjawiskami literackimi. Kiedy pojawiły się oznaki nadchodzącej wojny, liryka Broniewskiego wprowadza motywy i obrazowanie znamienne dla ówczesnych katastrofistów. W „Krzyku ostatecznym" pisał:

Dzień głodu, ognia, powietrza i wojny
Z dziejowej rodzi się nocy.
. . . . . .
Biada wam, ufne swej mocy
Babilony drapaczy chmur.
Dzień straszny rodzi się z nocy.
Będzie głód, pożoga i mór.

Myślę, że dla wielu czytelników książka Bujnickiego wydobędzie lirykę Broniewskiego spod brązu i nawarstwień uproszczonych interpretacji, ukaże ją jako zjawisko żywe i nadal współtworzące nasze odczuwanie poezji.

Tadeusz Kłak

Tadeusz Bujnicki: Władysław Broniewski. Warszawa 1972. Państwowy Instytut Wydawniczy. Portrety Współczesnych Pisarzy Polskich.

Krzyżówka nr 16

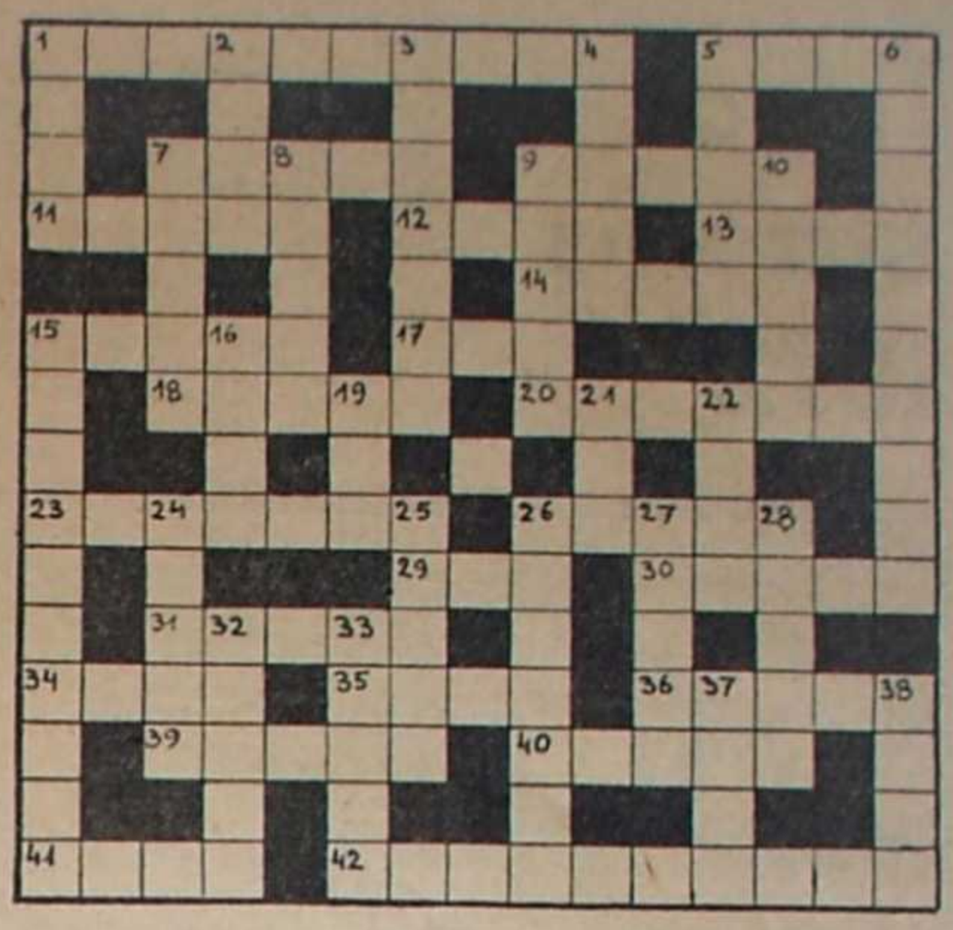

POZIOMO:

1. muza sztuki mimicznej, 5. nieforemny kawał drewna, 7. opera Paderewskiego, 9. sklepienie 11. dialekt ludowy, 12. kończyna górna, 13. stowarzyszenie architektów, 14. bohater trojański, który wyrżnął w szale stado baranów, 15. język klasyczny, 17. angielska miara powierzchni, 18. ma go róża, 20. pisarz irlandzki, który zdobył sławę dramatem „Czekając na Godota", 22. współczesny pisarz polski, 26. słup na statku, 29. amerykański pisarz i poeta, uważany za twórcę literatury kryminalnej (1809—1849), 30. wentyl, 31. na północy Afryki, 34. rodzaj sieci do połowu ryb, 35. miasto powiatowe w woj. warszawskim, 36. popularny gwiazdozbiór, 39. piękny motyl, zwany też „rusałką", 40. CH, 41. największy dopływ Wołgi, 42. pisarstwo.

PIONOWO:

1. pod drzwiami, 2. syn Dedala, 3. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla w 1952 r. 4. góry w ZSRR, Mongolii i Chinach, 5. punkt sprzedaży gazet i czasopism, 6. kubański pisarz, autor „Podróży do źródeł czasu", 7. kwietniowy solenizant, 8. prowincja Republiki Płd. Afryki nad Oceanem Indyjskim, 9. pierwsza powojenna polska komedia filmowa, 10. karmy dla zwierząt, 15. współczesny poeta polski, 16. opał dla kotłowni, 19. miasto powiatowe w woj. białostockim, 21. imię pisarki polskiej, której dzieła zebrane wydaje wydawnictwo lubelskie, 22. zwierzę hodowlane, 24. pierwiastek chemiczny, pochodzący od części świata, 25. robi okulary, 26. pisarz francuski XIX wieku, autor „Teatru Klary Gazul", 27. mieszkaniec kraju brytyjskiego, 28. autor „Przygód Hucka", 32. zatoka Morza Czerwonego, 33. duch powietrza w „Burzy" Szekspira, 37. uroczyste przyjęcie, 38. rzeka południowej Kielecczyzny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14

POZIOMO:

prom, Kraszewski, zero, pucz, habanera, tomiki, zgrzebło, wosk, Kochanowski, okno, Moskalow, smardz, bratanek, tiul, chan, literatura, arie.

PIONOWO:

pozytywizm, mrowisko, kapciuch, Suza, Eneasz, sake, Iowa, Chrzanowski, bzik, Odrodzenie, skok, wersalka, Komańcza, amator, biel, agat, etat.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody wylosowali: Wacław Mazurek, Oleśniki, poczta Fajsławice, pow. Krasnystaw, Bronisław Haba, Sandomierz, ul. Żeromskiego 12, Bohdan Bisikiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 8 m. 5. Grażyna Banaś, Lublin, ul. Odlewnicza 7/1.

Listy do KAMENY

„Kto i dlaczego niszczy Nałęczów"

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie w odpowiedzi na pismo z dnia 31 maja 1972 r. oraz artykuł Haliny Chabros zamieszczony w nr 11/436 „Kameny" pt. „Kto i dlaczego niszczy Nałęczów" informuje, że w dniu 29 maja br. odbyła się narada z inicjatywy Głównego Architekta Wojewódzkiego z udziałem szerokiego aktywu gospodarczego, administracyjnego i społecznego, reprezentowanego przez przedstawicieli: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Nałęczowie, Państwowego Zjednoczenia „Uzdrowiska Polskie", Uzdrowiska Nałęczów, Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa.

Ponadto naradę zaszczyciła swoim udziałem prof. dr Halina Kozniewska — członek Rady Państwa.

Po zaferowaniu zasad ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego miasta Nałęczowa, ze szczególnym uwzględnieniem zgodności jego ustaleń ze Statutem Uzdrowiska, odbyła się szeroka i wszechstronna dyskusja, w której udział brali przedstawiciele władz terenowych, Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa i innych organizacji społecznych i gospodarczych oraz zarządów uzdrowisk.

Wypowiedzi te nie podważały zasad planu zagospodarowania miasta, natomiast dotyczyły jego realizacji oraz jednostkowych decyzji.

Stwierdzono między innymi, iż plan ogólny miasta jest w swoich podstawowych elementach prawidłowy, ale jest narzędziem nie wystarczającym dla prawidłowej realizacji zabudowy miasta. Konieczne jest zatem niezwłoczne przystąpienie do opracowania, z udziałem szerokiego kręgu specjalistów, planów szczegółowych dzielnic: sanatoryjnej i prewentoryjnej w formie wielobranżowych opracowań.

W toku dyskusji stwierdzono również konieczność powołania dla Nałęczowa stanowiska konserwatora przyrody, którego obowiązkiem byłaby pełna ochrona istniejących walorów uzdrowiska.

W podsumowaniu narady przyjęto następujące wnioski: Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach powoła zespół, który opracuje program działania w zakresie zabezpieczenia prawidłowej gospodarki przestrzennej i inwestycyjnej w Nałęczowie, uwzględniający: powołanie stanowiska konserwatora przyrody; zapewnienie środków finansowych na opracowanie w drodze konkursu planu szczegółowego (urbanistycznego) dzielnicy sanatoryjnej i prewentoryjnej, zorganizowanego przez Towarzystwo Urbanistów Polskich. (Z inicjatywą opracowania takiego konkursu PWRN Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury wystąpował już w latach ubiegłych do Zjednoczenia „Uzdrowiska Polskie"); opracowany program działania będzie przedłożony do akceptacji przez Miejską Radę Narodową w Nałęczowie.

W powyższej sprawie wystosowane zostało pismo do Obywatela Przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach z dnia 1 czerwca 1972 r. celem niezwłocznego powołania zespołu dla opracowania programu działania w zakresie zabezpieczenia prawidłowej gospodarki przestrzennej i inwestycyjnej w Nałęczowie.

Powstały program działania, zgodnie z ustaleniami na naradzie, winien być w czerwcu br. przedłożony do rozpatrzenia i zaopiniowania na sesji Miejskiej Rady Narodowej w Nałęczowie.

W sprawie projektowanego wycinania starodrzewu na terenie przeznaczonym pod zabudowę jednorodzinną przy ul. Głęboczniej, spowoduje się uchylenie decyzji naruszających cenny starodrzew. Ponieważ odnośnie przeznaczenia przedmiotowego terenu pod zabudowę zostały podjęte decyzje w zatwierdzonym miejscowym planie szczegółowym na wniosek zainteresowanych, w celu ich uchylenia Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury PWRN w porozumieniu z PPRN w Puławach wszczyna z urzędu postępowanie w trybie obowiązujących przepisów.

Przewodniczący Prezydium WRN
(—) mgr inż. **Ryszard Wójcik**

„Fiskus" wśród zabytków

W nr. 12 „Kameny" z 4 czerwca 1972 r. wydrukowany został artykuł Jerzego Dostatniego pt. „Fiskus wśród zabytków", zawierający szereg faktów i sformułowań dotyczących naszego przedsiębiorstwa. Poglądy autora artykułu oparte zostały jednak o niepełne informacje i jednostronne opinie i z tych względów wymagają uzupełnienia i sprostowania.

Cytowane w artykule słowa dyrektora PKZ, Wł. Terleckiego, napisane w 1956 r. (a więc po roku działalności nowo utworzonej grupy budowlanej) i przestrzegające przed upodobnieniem się działu wykonawstwa budowlanego PKZ „do szeregowego zjednoczenia budowlanego" należy interpretować inaczej, aniżeli czyni to autor artykułu.

Dyrektorowi Terleckiemu chodziło bowiem o to, by wykonawstwo budowlane nie zmajoryzowało towarzyszących mu służb specjalistycznych i by dzięki temu zamiast b u d o w l a n o - k o n s e r w a t o r s k i e g o nie stało się jedynie wykonawstwem b u d o w l a n y m.

Podstawowym czynnikiem gwarantującym utrzymanie specjalizacji przedsiębiorstwa jest kompleksowość działania jego pracowni. Wśród nich pierwsza przystępuje do prac Pracownia Dokumentacji Naukowo-Historycznej; towarzyszą jej Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska, Pracownia Konserwacji Dzieł Sztuki oraz Zespoły Badań Architektonicznych Pracowni Projektowej.

Pracownia Dokumentacji Naukowo-Historycznej, której wyłączenie z PKZ proponuje autor artykułu, jest pracownią określającą kierunek i zakres wykonawstwa konserwatorskiego i w dużym stopniu pozostałych pracowni specjalistycznych. PDNH ustala dzieje budowlane obiektu i wskazuje innym pracowniom fazy przekształceń i zmian wymagających uściślenia i określenia badaniami archeologicznymi i architektonicznymi. W wyniku kompleksowych badań powstają wytyczne i wnioski konserwatorskie, dające podstawę do sporządzania projektów renowacji czy konserwacji, a następnie ich realizacji.

PDNH przez cały okres prac przedprojektowych i projektowania udziela konsultacji, ponieważ w najpełniejszym zakresie zna dzieje obiektu i jego istotne wartości. PDNH sprawuje nadzór konserwatorski podczas wykonawstwa budowlanego, ma też możliwości i obowiązek korygowania zakresu i kierunku robót, jeśli w trakcie wykonawstwa ujawnione zostaną nieznane dotychczas fakty z historii budowlanej zabytków. Praktyka konserwatorska wykazuje, że tego rodzaju okoliczności zdarzają się często.

W tych warunkach pozbawienie przedsiębiorstwa specjalistycznej PDNH byłoby uniemożliwieniem działalności kompleksowej pracowniom planu naukowo-konserwatorskiego, byłoby również niezgodne z zasadami prawidłowej organizacji pracy, wymagającymi stwarzania optymalnych warunków działania i łączenia, a nie dzielenia służb wspólnie działających w przedsiębiorstwie. I dlatego działalność PDNH w ramach organizacyjnych PKZ nie jest monopolem, lecz tylko wynikiem tego, iż przedsiębiorstwo winno działać nie jako „szeregowe zjednoczenie budowlane", lecz jako przedsiębiorstwo specjalistyczne.

W pełni podzielamy zdanie autora artykułu, iż PKZ winny działać na innych zasadach, aniżeli typowe przedsiębiorstwo budowlane. Wszystkim nam przecież zależy na tym, by dla potrzeb zabytków wygospodarować jak najznaczniejsze środki finansowe. Jest to oczywiście pogląd nie tylko naszego Oddziału, ale i Zarządu PKZ, który wielokrotnie występował do Ministerstwa Kultury i Sztuki w tych sprawach.

Dopóki jednak nie podjęte zostaną w tym kierunku inne decyzje, zobowiązani jesteśmy do osiągania określonych wskaźników ekonomicznych. Ich wypracowanie jest możliwe dzięki dużemu wysiłkowi całej załogi przedsiębiorstwa, jego POP, Radzie Zakładowej i Radzie Robotniczej.

Redaktor J. Dostatni podaje kwoty, które Oddział Lubelski PKZ wpłaca na rzecz Zarządu, nie są to jednak sumy bezzwrotne. Z puli centralnej Oddział nasz otrzymuje fundusze inwestycyjne na postęp techniczny i inne cele.

Cytowane w artykule fakty skreślania z faktur ostatecznych dość znacznych sum istotnie miały miejsce i są, oczywiście, faktami niepożądanymi. Ale nie wystąpiłyby one z taką jaskrawością, jeśliby istniały ściślejsze kontakty między kierownikiem budowy i inspektorem nadzoru. Systematyczne sprawdzanie książek obmiaru przez nadzór inwestorski nie wymagałoby „zapobiegawczego" procentowego obcinania faktur. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że cennik i normy mogą być interpretowane rozmaicie, a liczne uzupełnienia i sprostowania do cenników są tego najlepszym dowodem.

Podobnie ma się sprawa z interpretacją cenników prac projektowych. Wyceny indywidualne prac, nie mających odpowiednika w cennikach, ustalane są komisyjnie i przedstawiciel inwestora, zapraszany do komisji, ma pełne prawo zgłaszania swoich uwag.

Zapraszamy obecnie red. Dostatniego do obejrzenia dworku W. Pola, w przededniu przekazania go inwestorowi. Sądzimy, że po zapoznaniu się z wykonanymi robotami dojdzie do przekonania, iż całokształt prac konserwatorskich, a nie tylko pojedyncze ich elementy, upoważnia PKZ do stosowania odrębnych narzutów.

Dyrekcja Oddziału PKZ w Lublinie jest wdzięczna autorowi artykułu za podjęcie problematyki odbudowy zabytków, w której naszemu przedsiębiorstwu wyznaczone zostały poważne zadania. Krytyczne uwagi o naszej dotychczasowej działalności pozwolą nam na skoncentrowanie się na tych jej kierunkach, które wymagają w największym stopniu zmian.

Dyrektor Oddziału
inż. **Mieczysław Król**

Pamięć o Feliksie Araszkiewiczu

Komu z mieszkańców wioski Zamołodycze znane jest nazwisko naukowca, doktora nauk humanistycznych prof. Feliksa Araszkiewicza, trudno mi powiedzieć. Warto jednak przypomnieć, że Feliks Araszkiewicz urodził się we wsi Zamołodycze w pow. włodawskim. Swoje żywe zainteresowanie dla ziemi rodzinnej uwidocznił w postaci redakcji 2 tomów „Regionu Lubelskiego" — organu Komisji Regionalistycznej, powołanej do życia przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Araszkiewicz był regionalistą w znaczeniu teoretycznym i przede wszystkim praktycznym. Interesowało go wszystko, co miało związek z kulturą i jednocześnie z Ziemią Lubelską. Dawał temu niejednokrotnie wyraz w artykułach, wnosząc wiele nowych faktów, pozwalających ustalić realny wkład naszego regionu do skarbnicy kultury narodowej. Warto by więc pomyśleć o umieszczeniu tablicy pamiątkowej np. w szkole w Holi, przypominającej uczniom z Zamołodyez i okolicznych wiosek autora słów: „Koroną działalności twórczej pisarza jest jego zasługa wobec człowieka, wobec świata, który ukochał, usługa czynna całego życia ze wszystkimi wzlotami i upadkami — powstająca w nieustannym narastaniu wartości cennych społecznie i wyrażanych pięknem dzieł stwarzanych...".

Stanisław Sterlus
Kodeniec
pow. parczewski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Korekta — DANIELA BUROWA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał JAN PIECZYKOLAN

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 3:

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1808. 9.304. B-8.

Jugosławia 1972

Dokończenie ze str. 4

Opowiadano mi, że kierownictwo jednego z nadmorskich hoteli gwarantując gościom pogodę, tak reklamuje swoje usługi: jeśli przyjedziesz do nas na dwa tygodnie i któregoś dnia będzie padać deszcz, wówczas będziesz u nas mieszkać bezpłatnie!

W Polsce nie dałoby się — z uwagi na klimat — zastosować takiego chwytu, ale czy znaleźlibyśmy... no, powiedzmy głównego księgowego hotelu, który zaakceptowałby taką „rozrzutność"? A w Jugosławii owa „rozrzutność" musi się kalkulować. Tak to jest, gdy hotel szuka gościa, a nie gość hotelu. Ale postawienie hotelu kosztowało określoną sumę i suma ta musi się jak najszybciej zwrócić.

Zdaję sobie sprawę, że klimat jugosłowiański, naturalne uroki tego kraju, cokolwiek byśmy przez snobizm uważali, przewyższają uroki Bałtyku. Ale np. turysta szwedzki ma tylko skok przez morze, aby znaleźć się w cieplejszej Polsce. Nie zatrzymamy go dłużej niż przez kilka dni, jeśli nie stworzymy mu odpowiednich warunków wypoczynku. Dobrze, że o tym zaczęło się myśleć w kategoriach ekonomicznych, ale na efekty jeszcze będziemy musieli trochę poczekać.

Wydaje mi się, że nasze biura podróży powinny pilnie studiować doświadczenia jugosłowiańskie na polu turystyki. Możemy bez żenady przejąć niektóre koncepcje, dostosowując je do polskich warunków.

• • •

Jestem „za", ale i jestem „przeciw". Może wyglądać to będzie jak skrzeczenie ciotki-przyzwoitki, ale oponowałbym przeciw naśladowaniu wydawców jugosłowiańskich, którzy propagują goliznę wypuszczając na rynek książeczki z płaskimi dowcipami na temat sexu. Wprawdzie słyszałem zdanie, że „teraz jest tego znacznie mniej niż przed kilkoma laty", ale kioski oblepione roznegliżowanymi okładkami budzą niesmak. Zwłaszcza, jeśli obok tego typu okładek spotyka się okładki z przywódcą kraju. Belgradzki dziennikarz powiedział mi:

— Od tego socjalizm się u nas nie zawali.

Na pewno. Śmiem jednak wątpić, czy pomaga to w wychowaniu młodego pokolenia. A wątpić mi — mimo wielkiej serdeczności jugosłowiańskich przyjaciół — zawsze wolno.

Marek Adam Jaworski

minuta myślenia

Nie tylko cegły

„CIEKAW jestem, czy obecny profesor Akademii Medycznej dr Voit pamięta te swoje pierwsze kroki pedagogiczne".

Obaj wtedy jeszcze żyli. Wtedy, to znaczy w czasie ukazania się „Mostu nad czasem" Konrada Bielskiego, skąd pochodzi powyższy wyjątek. Czytam i popadam w stan melancholijnej zadumy: „czy obecny profesor pamięta". Podane to jest z pietyzmem dla szczegółiku przeszłości, z przymrużeniem oka wobec dystansu czasu, który upłynął. Już nie ma ani tego, co przypominał, ani tego, co miał sobie przypomnieć.

Przytaczam to nie dla samego dreszczyku metafizyki. Może trochę dla Konrada Bielskiego, którego druga rocznica śmierci raczej słusznie minęła bez nadmiernej pompy żałobnej. A był ci Konrad ostatnim, co tak poloneza wodził. (Zawsze zastanawiam się — jakiego poloneza. Nie przesadzajmy, że literackiego, społecznego, organizatorskiego, ideowego czy charytatywnego. Mimo to czujemy, że z jego odejściem jakaś karta w historii Lublina została nieodwołalnie przełożona z prawej na lewą stronę. Więc może to nie był polonez. Może lublinez).

Chętnie, bardzo chętnie wracam do skryptów autora „Mostu nad czasem". Tuszę sobie, że jeden z niewielu umiem je czytać. Wymagają swoistego odbioru. Coś tu ma być z retardacji, bierności czy — zrozumiejmy się dobrze — bezkrytycyzmu. Nie wolno w lekturę Bielskiego wnosić kategorii i punktów odniesienia uformowanych poza tym klimatem, jakiego dotyczy opis. Nie wolno wychodzić poza Lublin. I nie wolno mieć lat mniej, niż tyle, by opisywane wydarzenia jako tako objąć jeszcze własnym życiorysem.

Zakomunikowałem więc, że umarł. Co chciałem przez to powiedzieć? Że jakiś stąd wniosek wynika. Tylko — niech będzie Allach pochwalony — nie wiem jaki. Zakrzątnąć się wokół ocalenia od niepamięci spraw, które mogą przepaść z odejściem innych ludzi? Powinszować taktu. Mimo to zgodzimy się chyba, że samemu Konradowi to i owo ześliznęło się z pióra, że wszystkiego nie powiedział odkładając na lepszą okazję. Do — nigdy. Więc czy nie warto zapobiec ewentualności, że pewne możliwe zamiary znajdą się w czasie bezpowrotnie przeszłym? Mamy jeszcze w Lublinie sporo osobistości w stosunku do historii literackiej, artystycznej, kulturalnej — autorskich. Nie należałoby czekać, aż będzie za późno.

Dopominam się trochę z nutką resentymentu w głosie. Wiem, że żadne przedsięwzięcie organizacyjne czy wydawnicze nie odwróci prawidłowości czasu, który zaciera dawne ślady, anuluje dawne formy myślenia i obyczaju. Nie ma powrotu do wykusza w budownictwie, konnej trakcji w komunikacji miejskiej, regularnej strofy w poezji. Ale może powtórzyć się sytuacja, że plaśniemy się dłonią w czoło z poczuciem doznania szkody, której można było uniknąć.

Zapisuję tych kilka słów wróciwszy bezpośrednio ze spaceru po dzielnicy Bronowice i Kośminek. Tak, mają rację niecierpliwcy urbanistyki i architektury. (Właściwie nie oni. Oni tylko dodają swoje wygrażanie pięściami, kiedy oskarżony otrzymał już wyrok.) Komórka na węgiel, nędzny gołębnik utrzymywany jeszcze dla dręczenia gołębi, drewniana furtka jako wejście na posesję — wszystko to już odegrało swoją rolę w teatrze dziejów i ma zostać zniesione ze sceny. Inaczej rzecz się przedstawia z klimatem artystycznym Lublina tej epoki. I on jest — jak Konrad — tym ostatnim, co tak poloneza wodzi. Narysujmy to.

I w ogóle — doceniajmy własną tradycję. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim chcąc nie chcąc muszą czynić to inni, kiedy np. zachodzi potrzeba nakręcenia sceny do historycznego filmu. Właśnie teraz przy Bramie Krakowskiej montują jakąś makietę. Warto zaznaczyć, że mamy nie tylko stare cegły.

Ijon

falsetem

W sprawie dwóch zer

PROSZĘ mnie nie posądzać o chęć restauracji kapitalizmu między Bugiem a Odrą, a ściślej — nad lubelską Bystrzycą, ale po przeczytaniu pewnej informacji w 4441 numerze „Kuriera Lubelskiego" w moim kościu ideologicznym coś lekko zatrzeszczało.

„Kurier" pisał o szalecie. Lublin nie cierpi na nadmiar owych miejsc, stworzonych nie tylko w celach kontemplacji, i właściwie na palcach jednej ręki można je policzyć. W związku z tym należałoby się spodziewać, iż każdy dwuzerowy przybytek powinien być traktowany niczym skansen i otoczony troskliwą opieką. Aliści marzenia marzeniami, ale rzeczywistość bywa brutalna.

„Kurier" zajął się szaletem na lubelskim dworcu. Dowiedzieliśmy się, że administruje nim spółdzielnia pracy „Ogniwo". Po prostu — „Ogniwo", choć z pięciu liter nazwy spółdzielni dałby się utworzyć niemal cały wyraz zaczynający się od „g". To, co wydalamy z organizmu, można traktować jako ostatnie ogniwo naszego pożywienia, toteż nie wnoszę sprzeciwu. O g n i w o brzmi sympatycznie dla ucha, byłoby znacznie gorzej, gdyby spółdzielnia, władająca szaletem, miała za patrona jakiegoś rewolucjonistę. Chociaż rewolucjonista też był kiedyś człowiekiem żywym i nic co ludzkie nie było mu obce. Ale to dygresja niczego do sprawy nie wnosząca.

Gdyby spółdzielnia pracy „Ogniwo" wywiązywała się dobrze ze swoich obowiązków, a dobrze to znaczy normalnie, zapewne spowiłby ją dym obojętności i przyszły badacz lubelskich szaletów anno 1972 miałby poważne kłopoty przy pisaniu pracy doktorskiej na wzmiankowany temat. Niestety, spółdzielnia wykazuje zupełny brak inwencji. Do kolejowego komisariatu MO wpływają skargi, że brudno, że obsługa nietrzeźwa, że handluje się tu (!) wódką (śmierdziówką?). Zarząd spółdzielni bezradnie rozkłada ręce: nie ma chętnych do pracy w dworcowym szalecie! Kobieta, zatrudniona na spółdzielczym etacie, tłumaczyła się przedstawicielce „Kuriera": — Nie mam czym szorować pomieszczeń, bo od 1 lipca (artykuł ukazał się 10 lipca) nie dostałam ze spółdzielni nawet deka proszku czy kawałka mydła...

Hmm... Kiedyś słyszałem, że do osób najlepiej sytuowanych w Polsce należy babcia klozetowa na Gubałówce. Próbowałem to sprawdzić. Wdałem się z nią w rozmowę o pogodzie, o górach, kosmosie, o rodzinie, o... już nie pamiętam, bo to było przed kilkoma laty — ale bacznie patrzyłem, jak spodeczek napełnia się monetami, wśród których i piątka nie należała do rzadkości. Ale, drodzy państwo, tutaj dwa zera lśniły czystością!

Ostatnio korzystałem z ustronnych miejsc na dworcach w Szczecinie i Gdańsku, mam więc bogatą skalę porównawczą (krajową!). Owe szalety zapewne nie należały do luksusowych, ale i wstydu nikomu przynieść nie mogły. Babci klozetowej pomagał jakiś chłopaczek, zapewne własna latorośl, który skrzętnie ścierał na ścianach napisy. Cóż — Polacy naród piśmienny, nawet w dwóch zerach nie rozstają się z ołówkiem, co wcale nie oznacza, że pisownia pewnego wyrazu nie nastręcza im nijakich trudności. Raz jest na początku „h", raz „ch", chociaż przy popularnym określeniu pośladków nie spotkałem „ó"... Ale to też dygresja niczego do sprawy nie wnosząca.

A sprawa jest po prostu taka, że mogę ją sprowadzić do pytania: czy szaletem na dworcu kolejowym w Lublinie musi się zajmować spółdzielnia pracy „Ogniwo", która — jak wykazuje praktyka — ma to wszystko gdzieś? Czy sprawowanie nieograniczonej władzy, oczywiście w dozwolonych granicach, to znaczy żeby nie bito po gębie (!), nie można przekazać osobie, którą zwykło się określać jako a j e n t a, albo — jak kto w danym wypadku woli — p r y w a t n ą i n i c j a t y w ę?

Wypisałem się, ale w kościu ideologicznym dalej trzeszczy. Ten sam „Kurier", w tym samym numerze, w tej samej informacji zapodał, że w restauracji dworcowej WARS w Lublinie grasuje duży okaz szczura, zwany pieszczotliwie kotkiem. Ów „kotek" raz na oczach wielu osób ściągnął z gabloty pół kurczaka.

Proszę państwa ja się dziwię, dlaczego WARS nie wprowadzi 20-procentowego dodatku za działalność rozrywkową?

Proszę państwa, ja się dziwię, że tylko „Kurier" się dziwi, iż WARS nie handluje, a kompromituje.

Proszę państwa, mnie po prostu biorą wszyscy diabli. Muszę uczciwie przyznać, że wolę ich od szczura. Przede wszystkim mają bardziej puszyste ogony...

MAJ

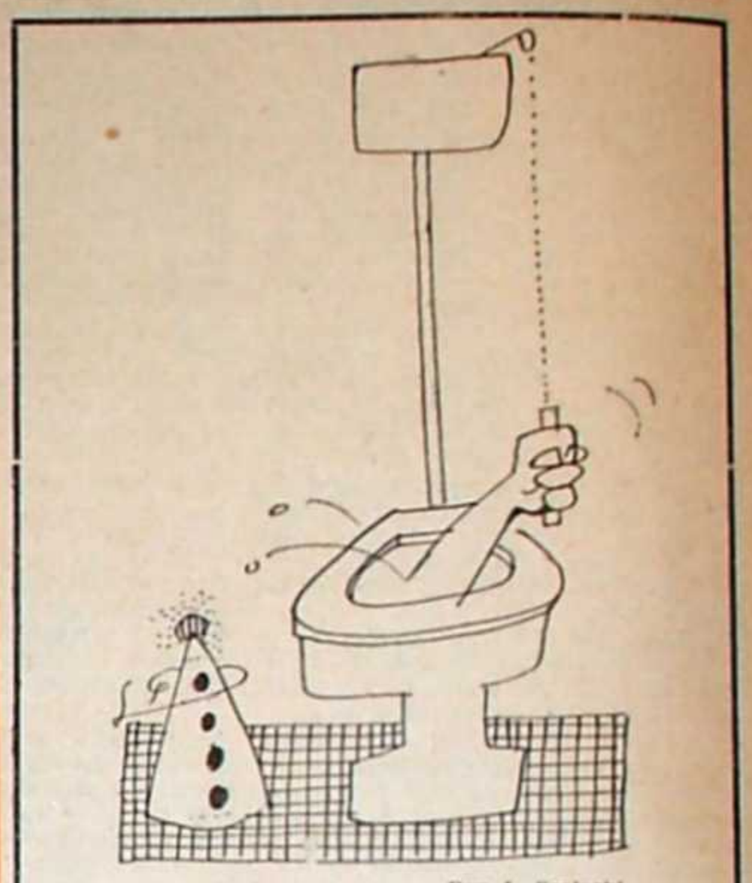

Rys. L. Szalecki

Noty i notki

Lubelskich handlowców ogarnął popłoch — zamiast urzędować muszą coraz lepiej pracować. Nowy przewodniczący Prezydium MRN nie bardzo czyta nadsyłane przez nich sprawozdania o wykonaniu planów, ale osobiście i o najdziwniejszych godzinach kontroluje zaopatrzenie sklepów, ich czystość, pracę personelu. Już jest lepiej, ale do dobrze jeszcze daleko. Ot, chociażby sprawa słonych paluszków, których fabrykę uruchomiono właśnie w Lublinie. Można je już u nas kupić niemal wszędzie, natomiast nawet za dewizy nigdzie nie ma chleba chrupkiego, do którego wzdycha całkiem pokaźna grupa wątrobiarzy. We Wrocławiu chleba chrupkiego jest nadmiar we wszystkich sklepach, ale permanentnie brak paluszków. Nikomu z handlowców nie przyszło do głowy, aby dogadać się z Wrocławiem na temat wymiany obu tych artykułów. Cała Polska zajada się już masłem roślinnym, a w lubelskich „Delikatesach" nie było nawet jego śladu. Ostatnio „Nadodrze" (15) doniosło, że w Lubuskiej Wytwórni Win od 18 lat produkuje się szampan — w lubelskich sklepach nie widziałem go jeszcze ani razu.

Przez 10 lat warszawski Teatr Ateneum organizował Konkurs Debiutu Dramaturgicznego, dając w ten sposób szansę młodym twórcom, którzy nie mogli przebić się na deski teatralne przez szczelny mur zawodowców. Nie zawsze konkursy dawały najlepszy plon, ale zawsze były szansą. Ostatnio jednak Ateneum zrezygnowało z ogłaszania konkursów, natomiast uruchomiło Studium Dramaturgiczne, w którym będą już obowiązywały takie kryteria, jak w każdym innym teatrze. W ten sposób tzw. wtajemniczeni zamknęli ostatnią furtkę przed nosami amatorów. Bo niby dlaczego mają oni odbierać honoraria zawodowcom?

O przedziwnych zainteresowaniach i możliwościach rodaków można dowiedzieć się studiując drobne ogłoszenia. Oto trzy małe próbki. „Kurier Polski" nr 161: „Pomogę turyście przy zwiedzaniu NRD. Warszawa, ul. Marszałkowska...". „Życie Warszawy" nr 165: „Kupię wapno dwudziestoletnie...". I zaraz potem: „Wapno trzydziestoletnie sprzedam..."

JOD

Serdecznie ucieszyłem się widząc pierwszy numer miesięcznika literackiego młodych „Nowy wyraz". Ładna szata graficzna, przystępna cena, nakład 8 tysięcy egzemplarzy. Ale pewne rzeczy mnie zaniepokoiły. Numer przygotowano 15 grudnia ub. r., oddano do składania w marcu br., podpisano do druku w maju br. Ukazał się w pierwszych dniach lipca z datą czerwcową. Jak tu dbać o aktualność?

W artykule „W imię poezji wiodącej" pióra Henryka Wolniaka padły ważkie słowa: „Wiersz spełni wtedy swoją rolę kulturotwórczą, jeśli podmiot twórczy (poeta) i podmiot percepujący dzięki niemu odkryją dalsze wartości poznawcze, językowe, moralne, artystyczne". Mam niejakie wątpliwości, czy zamieszczony w tymże numerze „Nowego wyrazu" utwór Michała Hermana „Wierzę w ciebie plamo" stanowi ilustrację wypowiedzianej wyżej myśli. Utwór brzmi: unurzany we własnej spermie/znaczy pokoleniu następnym/biegam od łóżka do łazienki/od gwiazdy po kartofel/w przejściu mijając swoje wnuki/które zdążyły nam się tak postarzeć/no popatrz, popatrz.../albo połóż się na mnie/ja położę się na ciebie/zrobimy westchnienie/i jak nietoperz ciężko oddychając/przewrócimy się na trzeci bok/a w plamę która pokazuje nam załzawione plecy /wbiję ostry pomysł — wiarę.

Poza tym zapowiedź (w następnych numerach) informuje m.in., że w piśmie ukaże się wiersz Krzysztofa Karaska i proza Krzysztofa Karaska. Nic nie mam przeciwko, ale Krzysztof Karasek, o czym dowiadujemy się z innej strony „Nowego wyrazu", jest sekretarzem redakcji. Czy sekretarzowi redakcji w własnym piśmie wypada tak się reklamować? „Młodości, ty nad poziomy..." Ale czy zawsze właściwie interpretujemy Wieszcza?

MAJ

Odpowiedzi redakcji

S. J., Lublin. Rękopis jest bardzo nieczytelny i to byłoby tylko pół biedy. Gorzej, że tak samo niestarannie jak do kaligrafii podchodzi Pan do kwestii formułowania obrazów. Ma się wrażenie, że nie panuje Pan nad tokiem wiersza, że daje się Pan unosić przypadkowości skojarzeń, czy może wprost mechanicznie powstających sformułowań. Powstają wtedy takie dziwolągi:

Śnij balladę o nieprzeżytym
westernie banalnych dni
wdychaj spaliny intuicji
w rozkładzie na czynniki przyszłości.

Przypuszczalnie pan sam byłby w kłopocie, gdyby przyszło wyjaśnić sens ukrytych „metafor".

S. J., Warszawa. Nie są to utwory, które zasługują na odrzucenie. Ale również nie znajdują prostej drogi do czytelnika. Odpowie Pan, że to niekoniecznie musi być mankament, ponieważ tym lepiej może świadczyć o wyobraźni zdobywającej się na odległe skojarzenia. Tak, ale ta „odległość" nie może być rezultatem przypadku, a tym bardziej — skłonności do „zaciemniania", która zawsze znajduje się blisko mistyfikacji. Jest w ogóle błędem, a w najlepszym razie manierą wielu młodych piszących praktyka wynikająca z przekonania, że wystarczy w tekst wmontować jakiś nastrój „kontestacyjny", jakiś wyraz „nieporozumienia ze światem", a utwór nabierze walorów bezspornych. Proponujemy raczej na odwrót: najpierw stan uczuciowy czy intelektualny, dopominający się wyrazu, w następnej zaś kolejności poszukiwanie środków formalnych. Jeśli te pokryją się ze stosowanymi w innych tekstach, tym lepiej to świadczy o autentyczności postawy generacji.

A. G., Ostrów Wielkopolski. Życzymy powodzenia w związku z zakomunikowanym nam debiutem, ale jeśli chodzi o nas, mamy zastrzeżenia odnośnie pewnych ekstrawagancji w przesłanych nam tekstach. Język poezji rzeczywiście nie musi nazbyt rygorystycznie przestrzegać prawideł gramatyki, a przede wszystkim składni, ale na to miejsce powinien zasugerować związek słów tłumaczący się rzeczywistością poetyckiej wizji. Nie zauważamy tego w tekstach takich jak:

— ona znacznie obudzona bez środków —
kto by nie przyznał się do różnicy w sportretowanym
świetle pleców wypukłych — drzazg uwięzłych
w namacujących gdy reszta ma bramę
złość i pretekst bez rozbiegłych

To już nawet nie Białoszewski. To Swen — Czachorowski. Albo w ogóle żarcik polegający na wyjmowaniu z kapelusza słów wyciętych z gazety. Poza tym dodamy, że w języku sportowym mówi się „puść bramkę", a nie „wpuść bramkę". Chyba że również między te dwa wyrazy wdała się metoda „odległych skojarzeń".

S. C., Puławy. Nie przeczymy, że w wierszach zawarty jest pewien nastrój przekonujący swą bezpretensjonalnością, pewien liryzm nie fałszowany i ujmujący. Piszemy te słowa i obawiamy się, że mogą być przyjęte w innym znaczeniu. Wszystko, co pochodzi z emocji, jest we współczesnej poezji nader podejrzane. Myślimy jednak, że zachowa Pan swój ton intymny nie popadając w banał i poszukiwanie oryginalności nie przechylając się w wydziwianie. Powodzenia.

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tego jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na seriale dziś moda. Powieść, którą po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez". Dopisek — „Autor nieznany, życie współczesne". W czasach, kiedy oficjalna młoda proza pławi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młódź kultywuje cudownie liryczne i serdeczne wzorce uczucia łagodnego, prostego i nieśmiertelnego, acz nie bez srogich przeciwności losu.

Nina Grodzka już dawno pożegnała się ze swoją wielką miłością młodzieńczą, Mariuszem, który został księdzem. Poślubiła przyjaciela Mariusza — Zbyszka Sakowskiego. Będzie miała z nim dziecko. Ale pewnego dnia podczas rodzinnej wycieczki samochodowej zdarzył się Sakowskim tragiczny wypadek. Jesteśmy na miejscu katastrofy.

(9)

— O skarbie ty mój! — wykrzyknął Zbyszek. Nawet nie drgnęła, leżała Nina twarzą do ziemi. Prawą rękę miała zaciśniętą na klamce, w ustach pełno piachu.

— O mój klejnocie! — porwał ją na ręce. Twarz Niny była cała w piachu, spod którego przedostawała się krew. Obtarł jej twarz i ciało trzymał na swoich rękach.

— Nie żyje! Nie, głupiec jestem, ona musi żyć! — poza rankami na twarzy nie widział nic więcej. — Nino, Nineczko, najdroższa moja!

Poruszyła się. Otworzyła usta i zdawało się, że poruszyła wargami. Przyłożył ucho do jej warg.

— Mariusz... — szeptała cicho. Zbyszek zadrżał z rozpaczy.

— Gdzie Mariusz? Już idzie? — spytała i otworzyła oczy. Zrozumiała swój błąd i zarumieniła się. — Przepraszam — wyszeptała.

Tymczasem przyjechała milicja i karetka pogotowia. Stwierdzono zgon rodziców Niny. Lekarz poznał Ninę. Lotem ptaka została przewieziona do szpitala. Przecież to ich koleżanka, lekarka. Sprowadzono lekarzy z Warszawy. Następnego dnia odzyskała przytomność. Przypomniała sobie wczorajszą wycieczkę. Rozejrzała się dokoła, przy niej był tylko mąż.

— A gdzie mama? — spytała.

— Zaraz przyjdzie i odwiedzi cię. — Zbyszek odwrócił się, żeby ukryć łzy.

Zrozumiała tę gorzką prawdę. O ojca już nie pytała.

— Ja też umrę — powiedziała.

— Nino, nie mów tak, błagam cię!

W tej chwili Nina rzuciła się na łóżku. Zbiegli się lekarze. Nina krzyczała jakieś urywane zdania. Wśród nich powtarzała najczęściej słowo „Mariusz". Bolało to Sakowskiego. Dla niego był to nóż w serce.

Lekarze stwierdzili przedwczesny nieustępujący poród.

— Czy ona wytrzyma? Czy... czy nie? — Zbigniew zadawałby nieskończone liczby pytań, lecz lekarze nie odpowiadali. Nie spodziewali się nic dobrego. Zgodnie z przepisami regulaminu, Sakowski musiał wyjść na korytarz szpitalny. Od czasu do czasu słyszał jej rozpaczliwy krzyk. Tak mijały godziny. Był już wieczór, a on wciąż stał na korytarzu i wpatrywał się w drzwi.

Nagle jedna z pielęgniarek wyszła na korytarz, niosąc coś przed sobą.

— Niech pan patrzy, oto pańskie bliźniaczki.

— Jak ona się czuje?

— Źle, tego trzeba się spodziewać.

Rano swoje pierwsze kroki skierował do szpitala. Wpuścili go na salę. Gdy wszedł, lekarze porozumieli się wzrokiem i opuścili salę. Nina leżała nieprzytomna. Nachylił się nad nią. Uniosła powieki i usiłowała spojrzeć na niego.

— Ach, jak się cieszę, że przyszedłeś. Mam ci tyle do powiedzenia.

— Słucham, mów, o ile to cię nie męczy.

— Jeśli nie powiem dzisiaj, nie powiem nigdy — odparła. — Zbyszek, chyba wiesz, że jesteś ojcem już.

— Tak, jestem ci za to bardzo wdzięczny — tutaj pocałował ją w czoło.

— Zostawiam ci na wychowanie dwoje dzieci. Pamiętaj, że to są dzieci moje. Ja już odchodzę — i tutaj opadła na poduszkę.

— Nino, co ty mówisz!?

— Tak, muszę ci to powiedzieć... Pamiętasz jak w sobotę przyszedłeś do domu, to ja pisałam. Czy nie zdziwiło cię to? Tu kartka leży na stole pod obrusem, przeczytaj ją — i znów opadła na poduszkę.

— O Nino! Nino! — wykrzyknął.

— Zbyszek, ja muszę umrzeć. Dobrze, że dzieci żyją. Ja muszę... Po mojej śmierci niczego ci nie zabraniam... Ja już umieram... Ja już... Po... Pozdrów Mariu... — i nie dokończyła. Zapłakało i ona zapłakał.

— Żegnaj mężu!

Nie chciał słyszeć tych słów. Chciał już stąd uciec, lecz ona mówiła dalej:

— Na kartce masz wszystko opisane. Spełń moje ostatnie prośby... — umilkła, patrząc na niego, lecz w dal oddała ostatni oddech.

(D. c. n.)